



XIX OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

im. Mieczysława Stryjewskiego

Lębork, 26 listopada 2004 r.



ORGANIZATORZY

Burmistrz Miasta Lęborka

Rada Miasta Lęborka

Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana w Lęborku
Miejska Biblioteka Publiczna w Lęborku
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Oddział w Lęborku
Zespół Szkół Ogólnokształcących Nr 1 w Lęborku
Rada Powiatu Lęborskiego

KONKURS SFINANSOWAŁA

Rada Miasta Lęborka

z pomocą

Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Rady Powiatu Lęborskiego

PATRONAT



Marszałek Województwa Pomorskiego
Dziennik Bałtycki

Nikifor

*Pożyczasz barwy od błękitu,
od niebieskiego mórz obszaru -
do swych obrazków - Ty - Nikifor,
uliczkę domów, las wyczaruj.*

*Małej dziewczynki duże troski,
gdy pochylona brnie w gąszcz liter:
A tam znów kasztan, który rozkwitł
nagle wśród domów - dzieci wita.*

*Ręka, w niej pędzel czule tulisz,
nagle podana ku wiatrowi.
Ukrywasz czujnie piękno ulic:
Na twych obrazkach świat, i człowiek.*

Mieczysław Stryjewski



JURY

Kazimierz Nowosielski
Stanisław Janke
Roman Pryl

LAUREACI

Nagroda Marszałka Województwa Pomorskiego
Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

w kategorii poezji:

I nagroda Burmistrza Miasta Lęborka
Zdzisław Drzewiecki (Biały Bór)

II nagroda
Małgorzata Borzeszkowska (Lębork)

III nagroda
Radosław Wiśniewski (Brzeg)

w kategorii prozy:

I nagroda
Natalia Basek (Główczyce)

II nagroda
Daria Danuta Lisiecka (Aleksandrów Kujawski)

III nagroda
Czesław Markiewicz (Zielona Góra)

Nagrody specjalne

*Nagroda im. Józefa Majkowskiego Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Gdańsku*

Jerzy Fryckowski (Dębica Kaszubska)

Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Mirosław Odyniecki (Wejherowo)

Oddziału Miejskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Lęborku
Kazimierz Formela (Łebunia)

Śniadanie u Chrystusa

Judasz czyta Ewangelię.
Nie jest fanem literatury,
tym bardziej fantastycznej.
Nie ma również profetycznych motywacji
całowania gospodarza w policzek.
Jeśli myśli o zarabianiu na życie, to musi się spieszyć.
Gospodarz zaczyna mówić. Zradca
szczegóły towarzyskie najbliższej wieczerzy.
Nikt nie podejrzewa, że będzie to ostatni akt
niesubordynacji jednego z zaproszonych gości.
Judasz wychodzi.
Mija Gaj Oliwny,
Golgotę –
uśmiecha się tajemniczo.
Wie że cokolwiek się stanie –
zawsze już będzie tym, o którym
myślimy z pogardą.

Herod wyzwolony

to zabawne mówić o czyimś cierpieniu
jeszcze bardziej jest to śmieszne a nawet groteskowe
gdy czytam o niezawinionej śmierci
kiedy los człowieka jednej w zasadzie kruchej istoty
zmienia się w spłowiłą hekatombę liczb
zasłaniam wtedy oczy i próbuję sobie wyobrazić
jak wyglądałoby dojrzałe życie anonimowego skazańca
którego rozszarpały gorące obole ołowiu długo przed
naturalnym skowyttem albo pozostawieniem w roztargnieniu
klucza w drzwiach pokoju w domu starców
myślę wtedy o rzeziach i niespełnionej nadziei
gdy wędnie ledwie co wykluta łodyga paproci
cóż bowiem znaczy okrucieństwo heroda
szmacianej kukielki o gipsowym wyrazie twarzy
skaczącej figlarnie w noworocznej szopce
strach poetów i dzieci budzi nierzeczywisty barnaba
zabawnie opowiedziany przez dawno zapomnianego starca
patrzę wtedy w sfotografowaną głębię spojrzenia
współczesnych oprawców i miewam dreszcze
na myśl że w czasach kiedy ja będę
tym dawno zapomnianym starcem ten i ów
okupujący z bronią u nogi pierwsze strony gazet
przy spuszczonej przyłbicy czasu
podwiąże się do sznureczków heroda
i w jakiejś nawiązującej do ludowej tradycji szopce
wyda się bardziej dobroduszny od kostuchy
wymalowanej na kartonie z złowieszczo wysuniętymi piszczelami
pociesza mnie jednak fakt że i nasze sprawy
godne będą i treściwe dla przyszłych szopkopisów
i nikt z oglądających nie pomyśli nawet
że ja naprawdę cierpiałem zamieniając się w kruki słów

Nagła śmierć - czyli wieczór w centrum twojego miasta

Jest wieczór – środek miasta albo środek świata,
w najgorszym przypadku środek Europy.
Ja i tłum potykamy się o kamienie,
nie są to ślady antyku ani innej jakiejś struchlałej historii.
Zwykły bruk, lśniący jak niepoetyckie akcesoria psiej płci,
bez śladów krwi – co znaczy że nie przetoczyła się tędy żadna rewolucja,
tym bardziej francuska, bo na lampach zostały tylko resztki kampanii
wyborczej.

Jest nadzwyczajnie gorąco ale nikt nie ośmiela się gasić pragnienia,
choć w samym środku tego środka widać wyraźnie wertikum pompy.
Całkowity spokój. Można powiedzieć więcej – jest pokój, powszechny jak
chleb.

Pod ziemią przelewa się tylko zawartość najwłaściwsza z właściwych,
po prostu ścieki, ekskrementalnie normalne, jak ludzkie potrzeby fizjo-
logiczne.

Nad głowami fruwać gołębie. Żadnych niezidentyfikowanych i tym po-
dobnych.

Nie ma chmur, gwiazd, słońca – nie widać stąd nawet księżyca.

Nie przeraża horyzontalna pustka, przysłonięta fasadami wiekowych
kamienic.

Jedynym niebezpieczeństwem są oczy kobiet, ich nieokiełznana głębia,
nieodgadniona żądza ukrywana przed pojawiającymi się z naprzeciwka
mężczyznami.

Jakby jednak nie o nich chodziło, bo kobiety usiłują zadzierać czoła po-
nad okapy głów.

Nagle leje się krew. Bruk pod stopami robi się pomarańczowy.

Kawałki odsłoniętej ziemi, nieobleczonej całunem trawnika, płoną ży-
wym ogniem.

Z nieba sypie się grad kamieni – może z kamieniołomu Mokotów – ka-
wałki Sfinksa.

Z najbliższej odległości słychać ryk syren, pisk opon, zgrzyt hamulców.
Nad horyzontem, raz po raz, na zmianę z ciemnościami, strzela fioleto-
wa luna –

jakby spoza zasięgu wzroku jakiś tutejszy Absolut rozlewał po świecie
pioktaninę.

Czesław Markiewicz

I wreszcie staje się to, o co chodziło od samego początku –
kobiety rzucają się mężczyznom w ramiona.
Mężczyźni odbezpieczają pistolety, wyciągają noże, zaciskają pięści.
Poza tym nic się nie dzieje.
W samym środku czegoś tam – czego kto chce – nadchodzi noc.

Ponowoczesna bukolika na ukończenie dojrzałego wieku

stoimy przy studni
trzy kroki na północ dwa wiązy i jeden orzech
cztery kroki na południe trawa
od wschodu do zachodu piasek albo kamienie
kąkol i pszenica szeleszczą w piśmie nadzwyczajnie świętym

co nie usprawiedliwia nieobecności pradziadka gabriela
ani gadatliwości jego kuzyna lucjana
zło z dobrem zawsze pierwsze gzi się w izbie na nalepie
wszyscy wiedzą że wuj józef jest skurwysyn a ciotka teresa jak gencjana

w studni pionowa woda bez nurtu
nie nadaje się na jakąkolwiek przypowieść
parabola horyzontu tym bardziej nieruchawa

z tego powodu i z nudy śledzę ruchy słońca na blaszanym dachu stodoły
używam do tego lewego oka babki prawe o lasce przechadza się po sadzie
a studnia poza tym całkiem niewidoma i z wiekiem głębiej zadumana

z nieba zwisa drabina ze skręconej słomy
a to sobie na nią wlezie ojciec a to dziadek skubnie szczebel
idziemy wszyscy wysoko po jakubowym jakby mendlu

nie zostaje na ziemi żaden dziedzic a w ziemi hipoteka archeologii
okoliczne dzieci
bawią się w zakopywanie i odkopywanie

w lustrze studni marszczą się kręgi twarzy całej rodziny
nawet stryj judasz spod wody rozpycha się na wszystkie cztery strony

Zdzisław Drzewiecki

godzina północna, moja republika ogłasza niepodległość

to się robi tak prosto.
wystarczy stłuc zegarek
lub zatrzymać
na skrzyżowaniu autobus
wiozący ludzi gdzieś w mroczne
przestrzenie molocha

niedopałek papierosa
rzucić w okolicy sterylnych toalet.
wystarczy.
tak prosto.

że dłonie wyprzedzają myśl.
słowo.

wystarczy nie zwracać uwagi
na twoje załzawione oczy.
brak papierosów
i demograficzny niż

w obliczu wszytkożernych mediów
ogłosić niepodległość mojej republiki

natychmiast przestaną obowiązywać
z takim mozołem wypracowane zarządzenia
o abstynencji i wcześniejszych powrotach do domu
podczas posiłków wreszcie będzie można czytać gazetę
i oglądać futbol w tv w porach zupełnie dowolnych

to się robi tak prosto.
należy jednak uważać
aby nie przekroczyć linii demarkacyjnych
wyraźnie rozrysowanych na naszych sercach

Deszczowe popołudnie, zaparzam herbatę

nie będę dzisiaj odpisywał na twój list
nie wiem czy kiedykolwiek odpiszę
louis armstrong gra Saint James Infirmary
jego trąbka otwiera niebo
gołębie zjadają kruszyny chleba
z parapetu okna

po drugiej stronie ulicy biegnie dziewczynka
w niebieskich podkolanówkach

ale to jest takie odległe
takie odległe
niczym jasne ikony dzieciństwa

na stole biała kartka
cicha i cierpliwa
jak słowo
którego się nie doczeka

Z L.

a teraz będziemy schodzić coraz głębiej
na samo dno skwarneho dnia uczepteni butelek
z piwem przez ich bursztynowe szkło będzie się potęgować
groteskowość tej chwili drobnej kiedy tacy zapodziani nie
wiedzieć gdzie i nie wiedzieć czemu stoimy a właściwie
siedzimy w cieniu cmentarnego ogrodzenia będą w kontraście
zupelnym ze zgiełkliwą ulicą zabieganą tłamszącą się w ten
skwarany bezdech jakby tu i teraz rozgrywały się najważniejsze
misteria wszechświata więc tak niespodziewanie umiejscowieni
na granicy śmierci i życia nie jesteśmy pewni tak do końca
przekonani po której stronie się opowiedzieć więc póki co nie
dokonując żadnych ekstremalnych wyborów i pijąc nasze piwo
siedzimy plecami wsparci o granicę zimnej betonowej metafizyki
jednocześnie postrzegając jak niebieska taksówka roztapia się
w słońcu a tuż obok nas pomimo
przechodzi dziewczyna o niewyobrażalnie długich nogach

Pożegnanie

o godzinie 22.15 wyjeżdżam z miasta
w którym zwiedziłem wszystko co zasługiwało na uwagę
łącznie z twoim ciałem i twoim pokojem który przesiąkł
zapachem starych mebli
wiszące na ścianie zdjęcie twojego dziadka (bodajże Floriana)
w mundurze trzeciego pułku ułanów niewątpliwie dodawało
splendoru naszym miłosnym manewrom
rozkołysałem się za mocno
w tobie
w tym pokoju
w tym mieście
i to był powód najpierwszy i właściwie jedyny istotny
aby opuścić to miasto
opuścić wbrew sobie
tobie
i podszeptom rozmytego w deszczowym oknie miasta
w pamięci pozostaną jedynie białe tunele wspomnień
które z czasem zmatowieją
zatrą się
zatracą zupełnie
jak rudawe strumyki wody spływające
po łuszczącej się ścianie dworcowego budynku

Małgorzata Borzeszkowska

Staruszka u Bramy

Gdy do Bramy, w szumie tysiąca spódnic,
podchodzi maleńka staruszka,
anioły grają głośniejsze na wiwat.

Potem spod opiekuńczych skrzydeł
wyciągają pióra i papiórki.
Notują przepisy na szarlotkę
i placek z rodzynkami,
sposoby na plamy na obrusach
i na sumieniach.

A ona nieśmiało dotyka materii światła
i zakłada wrotki, które podał jej Święty Piotr.

Ptaki

Ptakom brakuje
naszej lekkości rozumowania,
ulotnie abstrakcyjnych konwersacji,
chmurnej wzniosłości.

Fruną dotykając ptasimi rozumkami
Dżdżownicy,
ziarnka maku,
bułki na parapecie.

Ciągną je w dół
tłuste pędraki,
zielone larwy,
złote krople pszeniczne.

Czym więc zasłużyły na skrzydła w błękitnej ciszy?

W East Sussex

lawendowe domy
pochylone
skłaniają się ku sobie
cicho
poskrzypują drzwi
wiklinowe dachy tulą do siebie gołębie
po drewnianym parapecie pełźnie włoskata gąsienica

(jest uprzejma i odrobinę nieobecna duchem)

zlicza drzazgi
trzystuletnie

pardon me?
ach, to tylko słoneczny zajączek połaskotał
jej piątą nogę

Okruch

Tak bardzo staram się
nie widzieć dźwięku niepewności,
słyszeć kolorów strachu,
liczyć cząsteczek powietrza.

Ignoruję pracowicie szarości,
omijam wzrokiem czernie,
i bure brązy.

Drutami związuję wszystkie przynależne mi części.

Jak dziecku,
które rozkłada i składa zegarek,
pozostaje mi zawsze zbędny element:
okruch zdrowego rozsądku.

Karmię nim ptaki za oknem

Życie jest pustką wyboru. Ballada iryjska

zdradliwa czerwień z ostatniej koszuli cuchulaina
przeszła szorując brzuchem omszałe przyjscia podziemne
pod głównymi ukrzyżowaniami trzech dowolnie wybranych
miast. anonim na przeciwścianie kościoła głosił:

Bóg się rodzi. trzeba krwi. zostały nam już tylko
jointy - odpowiadał nieznany skejt erwin rommel
spod krzyża. nie jarzę się w ciemnościach; unikam
zapalania żył w mózgu. dlatego nie rozpoznają mnie

podróźni na jednej z trzech dowolnie wybranych stacji.
każdy z nich w stężeniu jeden do tysiąca slajdów
nosi rysę jednej nieobecnej, oswojonej kobiety.
zmierschają namagnesowane okładki peronów. ostatnie

lokomotywy jak oślepięone kałamarnice odchodzą w cień
rafy kolejowej. miasto staje w gardle na wysokości
krtani jak przegryziona szklanka i drży jak bojowy
bęben za plecami jednego wybranych spomiędzy psa ath cliath,

psa z glinne bolg, psa z glen in sgail. za miastem,
na brodzie spotykasz mój hologram i zamiast dowodu
tożsamości - pokazujesz kartę przetargową wyluskana
z nigdy nie tasowanej talii. odchodzimy na przedmościa.

strażnice na wysokościach krzyczą, kruszą się i odlatują
przed zimą. stamtąd już wiem, że tych dwóch wybije martwą
witrynę moją głową, nakarmią moim ciałem miasto i nawet
jeśli pogotowie przybędzie na czas – stwierdzi tylko nieusuwalne

objawy oplucia i jestem gotów uwierzyć gdy wsuwasz
zwinnie język pomiędzy wargi i układasz głoski
jak zapalki we wnętrzu hologramu:

będę czuwała, nawet jeżeli przeżyjesz

Post eire 2004. Feridad nie odbiera listów

(...)
Do you want to hear about the deal that I'm making?
(...)
*You don't want to hurt me,
But see how deep the bullet lies.
Unaware I'm tearing you asunder.
Ooh, there is thunder in our hearts.*
(Kate Bush, "Running up that hill")

gdybyś tylko mógł odczytać ten list to by znaczyło,
że się udało i jeszcze żyjemy. przyszyty do ofiarnego
biurka spinkami wpiętymi w nadgarstki (zamiast w krawat,
tuż przy krtani) zaczynam wątpić że odruch gałkowy na myśl

o tamtej bitwie - oznacza życie. bo nie ma tamtych kobiet
gotowych nieść kadzie z wodą by gasić twój gniew zmieniający
włosy w rudy całun, nie ma warczących membran za plecami.
nie ma dziewczyn, które by stać się kobietami gotowe były walczyć

na kije na równoważniach nad potokiem Shanon. już dwa lata
jak torf i węgiel zarasta wrzosowiska na których mogłyby
oddawać niecierpliwe pchnięcia i przemawiać do ucha językiem
zawiłym i pięknym jak minskuła. ale wiesz tak dobrze jak ja,

że od dzisiaj nie uczynią najmniejszego śladu na dłoniach,
piersiach i brzuchu na znak, że któryś z nas spotkał łódź we mgle,
ujrzał kruka na ramieniu brata; nie wrócił z brodu ulsterskiego.
nie ruszą nas pomścić gdy kiedyś staniemy na ziemi i baranie struny

podtrzymujące nas w pionie stracą strój i pozwolą nam się rozejść.
gdybyś tylko mógł odczytać ten list, to by znaczyło,

że jeszcze potrafimy odchodzić.

Antidotum

Joachimowi D.

zatem doszliśmy do punktu, w którym pytasz tylko o rozkład jazdy w kierunku północnym i jaka jest kolejność odjazdów. patrząc na ciebie przez lunetę ze zbrojonego szkła odpowiadam: wiedziałeś, że

zatrzymamy się tutaj z zaszytymi w piersiach witrażami kobiet, kruchych jak ślimaki na parującym asfalcie, które rodziły, zdradzały, kupowały losy na loterii i wychodziły gdy nam otwierały się ściany naczyń z lekkiego szkła.

zatem, mówię, patrz jak paruje naczynie krwionośne brochowa a na cysternach wzdłuż trajektorii lotu rysują się pola zakazane żółcią. chodź, mówię, kukułka zaklina mieszkańców cichych ulic, stabilizowanych na grabiach,

płotach i motykach. oni oddadzą na wietrzność dzienniki stanu zdrowia domowych zwierząt, które za nas połykały na żywca klatki z drutu, gdy my przeżywaliliśmy nasączone kwasem opłatki zdjęć - jak antidotum na resztę światła

Noc świętego Jana Walpurga, która nie była snem

*Jestem na nią wściekła
bo miała z ciebie coś czego ja nigdy nie będę miała
Ka*

groźba nadciągających preobrażeńskich pułków błyskawic,
cumulonimbusów pełnych ołowiu jak wiroplaty federacji
nad kaukazem, była realna. inaczej nie krylibyśmy się
przed nimi w trawach twardych jak umocnienia linii zygryda,

gotowi poddać się sobie bez walki. nocą zaatakowały dybuki
wśród zgrzytu arkuszy wietrznej blachy aż wściekły azot
zapienił się w załomach dreszczy papilarnych; oszronione
modlitwy odchodziły z łopotem od linii oddechu. z nich

jak nagły wypał węgla drzewnego na puszczy wyczerniło się
proroctwo: *drogą jest studnia z powietrza budowana od ziemi
ku odbiciom drzew otrzepujących się z deszczu, ku szaleństwu*

*ryb mieszkających w brzuchu wyrobiska po zwirowni. świtem jest
prostujące się źdźbło w miejscu odcisków po ciałach waszych,
których nikt nie miał i nie będzie mieć przed tobą.*

Imprezja

Mieszkam w miejscu w którym zatrzymał się czas. Jego zakrzywiona oś nie odgina się, ani w prawo, ani w lewo, ale stoi nieruchomo tworząc kąt prosty z kawałkiem ziemi na którym żyję. Mój dom stoi na uboczu, na samym końcu wsi. Wieś zbudowana jest wzdłuż drogi. Jest to właściwie: parę domków, most na rzece, pałacyk i jeden sklep. Ostatnio nawet postawili tu przystanek, ale autobusy jeżdżą tylko w roku szkolnym, dwa razy dziennie, rano żeby dowieźć młodzież do oddalonej o trzy kilometry szkoły i wieczorem, żeby przywieźć ją z powrotem. Dzieci też nie ma tutaj wiele. Troje z nich uczy się w szkole podstawowej, a pozostała piątka w gimnazjum. Reszta jest jeszcze albo w wieku przedszkolnym i bawi się z rówieśnikami na podwórku, albo już skończyła szkołę i pomaga rodzicom przy gospodarstwie. Dorośli nie mają pracy i przeważnie zajmują się rolnictwem i hodowlą. Latem zbierają: grzyby, jagody, borówki, albo łowią ryby w pobliskiej rzece. Dni mijają spokojnie niezależnie od pory roku. Teraz jesienią jest tu szczególnie sennie. Co rano przy usytuowanym w centrum wsi sklepie, którego właścicielem jest najbogatszy człowiek w okolicy, zbiera się grupka mężczyzn i zaczyna pić swoje pierwsze piwo. Przed sklepem ustawione są dwa drewniane stoliki. Mężczyźni siedzą przy nich i rozmawiają: o pogodzie, telewizji, kobietach, o tym co na polu i co wisi w powietrzu. Piją prosto z butelek lub plastikowych kubeczków jednorazowych. Pałają przy tym dużo i chrząkają. Na stolikach stoją szklane popielniczki, do których co chwila strącają popiół. Trwa to mniej więcej do godziny jedenastej, potem o tej magicznej porze żony wołają ich do domów i każdy rozchodzi się w swoją stronę. W tym czasie dzieci bawią się na podwórkach. Podwórka to szczególnie inspirujące miejsca. Składają się przeważnie z ogródka, zielonej ławeczki i sznura na bieliznę. W oknach, zbudowanych z czerwonej cegły domów, wiszą koronkowe firanki. Na dwóch dachach widnieją, stanowiące jeden z niewielu przejawów cywilizacji w tym miejscu, anteny satelitarne. W obejściach szczekają psy. Na słupach telegraficznych bociany budują gniazda, przy drodze pasą się: gęsi, kury, kaczki i wkomponowujące się w krajobraz łaciate krowy. Popołudniu wszystko robi się sennie. Drzwi i okna domów są pozamykane, sklep ma czterogodzinną przerwę w pracy. Wkoło jest cicho, aż do wieczora trudno spotkać tu człowieka. Żółte drzewa pochylają się ku wilgotnej ziemi. Psy milczą, nikt niespodziewanie nie pojawia się na drodze. Ptaki nasłuchują szumu wiatru, z niektórych domów słychać

dźwięki audycji Radia Maryja, jednej z niewielu stacji, która działa bez zarzutu w prawie każdym miejscu Polski. Nawet telefony komórkowe tracą tu zasięg, cudem okazują się być przytwierdzone do dachów anteny satelitarne.

Bładoniebieska kapliczka przy drodze milczy, wieś wygląda na opuszczoną, aż do kolejnej magicznej godziny - osiemnastej. Około osiemnastej właśnie następuje przesilenie. W powietrzu unosi się zapach dymu i parzonej kawy. Uczące się w szkole dzieci są już o tej porze w domach. Pod sklepem drugi raz zbiera się grupka tych samych mężczyzn, by wypić swoje kolejne piwo. Piją zresztą już nie tylko piwo. W sklepie dostępnych jest również kilka innych marek alkoholi w przystępnych cenach. Nie wiedzieć czemu w październiku wybór jest szczególnie szeroki: „Cherry-mix”, „Jabol”, „Arizona”, „Byk”, jego jeszcze tańsza podróbka „Byks”, oraz piwo o filozoficznie brzmiącej nazwie „Platon”. Na ścianie z lewej strony poukładane są paczki papierosów: „Camele”, „Lighty”, „Caro”, „Mentolowe” i nieśmiertelne „Marlboro”. Jeśli ktoś poprosi, sklepowa rozpakowuje paczki, po czterdzieści groszy za sztukę, już sprawdziłam. Całą prawą stronę sklepu zajmują produkty spożywcze: pieczywo, nabiał, mięso, mrożonki, warzywa, owoce i oczywiście słodycze. Najpopularniejsze są jednak drożdżówki z dżemem wiśniowym. Sklepowa, pani Stenia, daje je czasem za darmo małym dzieciom, a starszym w zamian za pomoc przy sprzątaniu sklepu. Jeśli komuś do życia potrzebne jest coś więcej musi się po to udać do oddalonych o dwa kilometry Głównyc, bądź jeszcze dalej do Słupska lub Lęborka. Mało kto jednak stąd wyjeżdża. Większość ludzi spędza tu całe życie, a kto ma dużo szczęścia, po skończeniu szkoły wyjeżdża do miasta i raczej nie wraca.

Jest już późno, mężczyźni pod sklepem kończą rozmawiać. Zgniatają puszki po piwie i plastikowe kubeczki, wysypują popiół z popielniczki, a puste brązowe butelki ustawiają jedna przy drugiej. Potem wstają od stolików i strzepują z nich opadłe z drzew suche liście. Butelki oddają z powrotem do sklepu, niektórzy kupują jeszcze papierosy na sztuki, inni słodycze dla dzieci. Wreszcie wychodzą i każdy rozchodzi się w swoją stronę. Jest to dokładnie przed zamknięciem sklepu, o ósmej. Po chwili na brukowanej prostej drodze robi się pusto i cicho. Nie ma latarni, więc żadne światła się nie zapalają. Wokół jest już szaro, lampy w oknach domów powoli gasną. Psy nie szczekają, bładoniebieska kapliczka przy drodze wciąż milczy. Na ciemnogrnatowym niebie zapalają się pierwsze jasne gwiazdy. Część z nich odbija się w spokojnej tafli wody w rzece, a część niknie powoli za nadciągającymi ze wschodu chmurami. W moim pokoju

panuje półmrok. Ukryta pod fioletowo-niebieskim abażurem żarówka świeci jakby jaśniej, jaśniej, coraz jaśniej. Nagle pęka, a snopy iskier toną w mroku. Podchodzę do szafki, zapalam żółtą świecę, jej słaby płomień oświetla tylko skrawek brązowej podłogi i leżące na szafce: dokumenty, rachunki, stare listy i czarno-białe zdjęcia. Jest cicho, zegar milczy, las za oknem miesza się z niebem i trawą, i nie można już odróżnić wystających wierzchołków drzew od powodzi ciemnych chmur. Odwracam się, przechodzę powoli z pokoju do kuchni, tam mam lepszy widok na wieś. W mroku wieczoru krzywe domy stapiają się z prostą drogą, słupy telegraficznej sięgają pod niebo, na którym nie widać już gwiazd. W żadnym z domów nie pali się światło. Wokół unosi się tylko cisza. Cisza wnika w moje kości, spaja z podłogą. Przenosi magicznym zaklęciem na stojącą w drugim pokoju starą kanapę. Myśli rozplývają się w mroku. Powieki są tak ciężkie, że nie mogę ich udźwignąć, opadają na samo dno nocy. W pokoju unoszą się już tylko cząsteczki snu. Wnikają w granatowy dywan, miękką kanapę, kraściasty koc, we mnie...

Rano obudziły mnie odgłosy z zewnątrz. Psy szczekały, brukowaną drogą jechał samochód, słychać było dźwięk autobusu wiozącego dzieci do szkoły. Musiało być przed ósmą. Otworzyłam oczy, w pokoju było jasno, przez okno wpadały do niego promienie ciepłego słońca. Padały na porzucane wokół kolorowe palety, pędzle, płótna i brystole. Pistacjowe ściany wydawały się jaśniejsze niż zwykle, w powietrzu unosił się zapach terpentyny i akrylu. Pod ścianą sechł obraz – martwa natura: dwa jabłka, cytryna, stary móździerz, karafka z winem i bukiet lawendy, wszystko na tle ciemnozielonego materiału. Zaczęłam go malować już dwa tygodnie temu, ale skończyłam dopiero wczoraj, bo ciągle coś zmieniałam. Wstałam, przeszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Widok był powalający. Nie myte od tygodnia, opadające na ramiona włosy, przybrały kolor dojrziałych kasztanów. Cienie pod oczami były bardziej fioletowe niż zwykle. Oczy z niewiadomego powodu wydawały mi się bardziej żółte, niż zielone. Może to przez resztki ochry, które miałam na policzkach? Na białym fartuchu i rękach dominował amarantowy i błękit paryski. Zdjęłam lustro ze ściany, po czym wzięłam na gąbkę trochę terpentyny i zaczęłam ścierać farbę z rąk i twarzy. Szło to opornie, ale po dłuższym czasie ujrzałam pod warstwami zaschniętej farby coś jakby skórę, tylko że w kolorze czerwonym.

Do południa malowałam, zaczęty tydzień temu, widok z okna – żółto-czerwony las na tle zachmurzonego nieba. Teraz jednak pogoda się zmieniła i musiałam trochę improwizować. Jeszcze tydzień temu próbowałam go zrobić pod impresjonistów, a następnie pod neoimpresjonistów,

przypomniało mi się jednak jak Szymczak na ćwiczeniach (jeszcze w liceum plastycznym), powiedział do mnie: „Marta, ty nie rób pod ekspresjonistów, nie rób pod impresjonistów, ty rób pod siebie.” Zdanie zabrzmiało dwuznacznie, ale w pewnym stopniu poskutkowało. Chyba w środę zamalowałam wszystko na białą i zaczęłam od nowa. Teraz miałam przed sobą pierwsze warstwy chmur i zarysy drzew, ale cała reszta była już w mojej głowie. Zastanawiałam się czego dodać, żeby kolory były bardziej przyćmione, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Zdziwiłam się, bo nie odwiedzał mnie tu nikt prócz handlarki, która co tydzień przynosiła jajka i mleko, oraz chłopaka łowiącego ryby w pobliskiej rzece. Teraz jednak był piątek, a oni przychodzili zawsze na początku tygodnia. Wstałam więc, wytarłam ręce szmatką nasączoną terpentyną i poszłam otworzyć drzwi. Stał w nich Mateusz, chudy, w sklejonych plastrem okularach, z nie obciętymi włosami i tygodniowym zarostem. Był ubrany w długi beżowy sweter i zieloną kurtkę. W ręku miał bukiet czerwonych goździków.

- Cześć. Byłem akurat w okolicy, więc pomyślałem, że wpadnę cię odwiedzić. Powiedział uśmiechając się niepewnie i podając mi kwiaty. Miał zachrypnięty głos i wyglądał na zmęczonego, widać było, że musiał mało sypiać. Z pod nierównych kosmyków jasnej grzywki patrzyły jednak uśmiechnięte oczy.

- Chciałem kupić inne, ale w kwaciarni były tylko te i chryzantemy. Trochę zwiędły przez drogę.

- Mateusz, wchodź. Cieszę się, że cię widzę, chociaż nie spodziewałam się ciebie zupełnie. Zaraz wstawię do wody, dzięki, bardzo ładne. Brakuje mi tu kwiatów. O tej porze roku mało co kwitnie, więc robię tylko bukiety z suchych liści.

Przeszliśmy do kuchni, jak w całym domu panował w niej chaos. Szafki były pootwierane, w zlewie leżały brudne naczynia, a na stole i parapecie pełno było jakichś papierów. Starłam ze stołu resztki grafitu i zebrałam kartki. Zdjęłam poplamiony farbami fartuch. Z białej szafki wyciągnęłam jedyne dwa czyste kubki i wstawiłam wodę na herbatę. W puszcze znalazłam jeszcze kilka ciastek. Chciałam włączyć radio, ale przypomniało mi się, że jedyną dobrze odbierającą stacją jest Radio Maryja, więc zrezygnowałam. Usiadłam za stołem i spojrzałam na niego. Wydał mi się chudszy niż zwykle. Sweter wisiał na nim, jak na wieszaku, spod przymkniętych powiek patrzyły wciąż jeszcze uśmiechnięte oczy.

- Powiedz, jak ty mnie tu znalazłeś?

Spytałam opierając głowę na ręce i odkładając na parapet wieczne pióro.

- I to jest dobre pytanie Marta! Bardzo dobre, bo ja też chciałbym wiedzieć jak ty się tu znalazłaś? Na wsi, jeśli można to nazwać wsią, prawie dwie-

ście kilometrów od miasta, w którym powinnaś teraz być. Pod koniec czerwca jak wszyscy wymeldowałaś się z akademika i wyjechałaś. Dokąd? Nikt nie wiedział. Nie zostawiłaś telefonu, adresu, jakichś dokumentów czegokolwiek. Zupełnie jak u Bułhakowa¹, kiedy ludzie zaczęli zniknąć bez śladu. Nie przejąłem się wtedy, aż tak, pomyślałem, dobrze, trzeci rok studiów, może masz tego dosyć, może chcesz odpocząć, trudno. Potem jednak minał lipiec, sierpień, wrzesień, zaczął się październik, a ciebie ciągle nie było. No to, zaczęliśmy się już porządnie martwić. Szymczak skontaktował się z policją, ludzie z roku zrobili plakaty i porozwieszali po całym Gdańsku i okolicy. Cudem udało mi się wreszcie złapać twojego kuzyna, który powiedział, że mieszkaliście tu w dzieciństwie.

- A to oszust, miał nikomu nie mówić.

Powiedziałam, po czym chcąc uniknąć jego wzroku, wstałam od stołu i zaczęłam robić herbatę. Zielono-niebieskie kubki wydawały mi się zbyt małe, więc nalałam jeszcze do przeźroczystego dzbanka.

- Marta! Tak poza tym to z Gdańska do Lęborka jechałem SKM-em², potem do Głównyc autostopem i sześć kilometrów na pieszo, bo pomyliłem drogę. Marta, co ty tu robisz, co się dzieje? Nie mów, że chcesz rzucić studia, bo w to nie uwierzę.

Siedział pochylając się nad stołem, ogrzewał ręce kubkiem z herbatą i patrzył na mnie pytającym wzrokiem. W kuchni zrobiło się ciemniej, niebo się zachmurzyło, o szyby zaczęły uderzać drobne krople jesiennego deszczu. Wiatr wiał i kolorowe liście rosnących tuż za oknem akacji wirowały w powietrzu i spadały to na wilgotną ziemię, to na parapet. W kuchni unosił się zapach papierosów.

- Znowu zaczęłaś palić?

- Marta, proszę.

Znów spojrział na mnie pytającym wzrokiem i oparł łokcie na stole.

- Jestem już zmęczona. W akademiku ludzie, potem zajęcia, ludzie, obiad w barze mlecznym, ludzie, potem jakaś wystawa, albo akademik, ludzie, znowu ludzie, wszędzie ludzie. Jesteśmy piękni, młodzi, wszystko jeszcze przed nami. Imprezy, trawka, alkohol, trzeba się wspomagać twórczo, to my artyści, my bohema z Gdańska. Ani chwili spokoju, ani chwili ciszy, ani chwili na sen. Zmęczyło mnie to. Nie potrafię już tak...

- Co ty w ogóle mówisz? Przecież to wcale nie jest tak! To o czym mówisz nie dotyczy wszystkich, tylko pewnej grupy osób. My się akurat w takiej grupie znaleźliśmy, ale przecież można to zmienić. Marta, przecież ty się tu zmarnujesz, miałaś jechać na stypendium, zrobić wystawę. Chciałaś pisać pracę o impresjonizmie.

- Pracę o impresjonizmie, mówisz. Tak, myślałam o tym, ale co ja wiem o impresjonizmie? Powinnam raczej pisać o imprezjonizmie, z tego to ja nawet mogę robić doktorat. Imprezje z naszych „wieczorków artystycznych” i spotkań teatralnych. Imprezje z imprez i picia szampana w parku. Dużo różnych imprezji, wciąż nowe i nowe. Niepohamowany potok słów, obrazów, dźwięków. Oto cały imprezjonizm.

- Dlaczego ty w ten sposób o tym mówisz? Przecież to było piękne, bawiliśmy się, cieszyliśmy, odkrywaliśmy wciąż coś nowego. Jak mawiał Stach, kolorowaliśmy nasze życie. Imprezjonizm, każdy ma swoje imprezje, nawet jeśli dotyczą tych samych wydarzeń. Zawsze wydawało mi się, że twoje są inne.. Zresztą przecież sama tak chciałaś, nikt cię nie zmuszał.

- Właśnie, chciałam, ale już nie chcę. Teraz chcę innych imprezji. Imprezji z bycia tutaj, patrzenia na ten skrawek ziemi i nie zastanawiania się co jest dalej, bo dalej nie ma nic, prócz lasu, pola i kamieni.

- Nie mów mi takich rzeczy. Ja ciebie nie rozumiem. Marta, pomożemy ci. Szymczak załatwi oddzielny pokój w akademiku, albo stancję, będziesz malować, czytać, tworzyć, robić wszystko co chcesz. Nikt ci nie będzie przeszkadzać. Nie będziesz musiała chodzić na wszystkie zajęcia.

- Ja nigdy nie chodziłam na wszystkie zajęcia.

- Nie ważne, ja ci to załatwię z Bagińskim. Będziesz miała dużo wolnego czasu, zobaczysz.

- Mateusz...

- Dobrze, jeśli tak bardzo nie chcesz wrócić teraz, załatwimy ci jakoś urlop dziekański. Tylko wróc kiedyś.

- Ja tak nie chcę. Zmęczyło mnie to. Nie kręci mnie już budzenie się rano i pytanie jaki jest dzień, gdzie ja jestem, z czego są ćwiczenia? Nie bawi mnie to już. Mam tu spokój i ciszę. Odwiedza mnie tylko handlarka i chłopak łowiący ryby. Kiedy chce mogę wyjść, kiedy chcę mogę wrócić. Las rośnie zawsze w tym samym miejscu, bloki nie przesłaniają widoków.

- Marta, ale co ty mówisz? Nie rozumiem cię, co się stało, dlaczego, jak? Przecież ty tak kochałaś to miasto, jego klimat.

- Tak wybrałam. Chcę tu być. W tym czasie, w tej przestrzeni. Czuję, że powinnam tu być.

Spojrzał na mnie zgaszonym wzrokiem i uśmiechnął się lekko. Potem westchnął i odstawił na bok kubek z herbata.

- Tak, niezłomna Marto. Kiedy już coś postanowisz nic cię nie zatrzyma? Jak ja mam cię przekonać? Co ja mam ci powiedzieć?

- Może prawdę?

- Chcesz prawdy? Dobrze. Prawda jest taka, że chyba się pogubiłem. Wiem,

że ja jako facet nie powinienem tego mówić, ale tak się składa, że siedzę tu teraz i czuję się bezradny.

- Ty, bezradny? Chyba żartujesz?

Powiedziałam i uśmiechnęłam się do niego. Też się uśmiechnął, choć przyszło mu to z trudem. Potem odwrócił głowę, zapatrzył się w przestrzeń między podłogą, a parapetem i powiedział.

- Pamiętasz jak w plastyku jeździliśmy na plenery do Kazimierza Dolnego?

- Jasne, że pamiętam. Szymczak nas tam zabierał, bo jak mówił kojarzyły mu się z jakąś niespełnioną, młodzieńczą miłością. Nigdy nie mówił z jaką.

- Właśnie, Szymczak, niesamowity gość. Jest teraz wychowawcą klasy trzeciej FU³. Na jednym z tych plenerów, jak szkicowałem ten stary kościół na górcie, podszedł do mnie i powiedział żebym rysując nigdy nie zamykał rysunku na kartce, że on istnieje poza nią w umyśle odbiorcy. Wtedy go nie zrozumiałam, ale teraz myślę, że chodziło mu o to, że sztuka, jak miłość, ma w sobie coś z nieskończoności i gdziekolwiek byś chciał przed nią uciec zawsze cię dogoni.

Deszcz przestał padać, jednak na dworze zrobiło się już szaro. Wiatr szumiał i słychać było autobus przywożący dzieci ze szkoły. Lufcik był niedomknięty i dało się słyszeć jedną z audycji Radia Maryja. Matki wołały swoje dzieci do domów. Wiszący na ścianie zegar, zepsuty już od miesiący, niezmiennie wskazywał dwunastą trzydzieści.

- Pójdę już, ciemno się robi.

- Chcesz wracać w nocy? Możesz zostać.

- Jutro jest wykład Bagińskiego, szkoda opuszczać.

Powiedział i oboje się zaśmialiśmy, bo zabrzmiało to dość niewiarygodnie. Wstał i wziął w rękę plecak.

- A, przywiozłem ci trochę farb, jakieś pędzle i terpentynę, pomyślałem, że pewnie ci się przydadzą.

Powiedział wyjmując z plecaka ciemną reklamówkę i uśmiechnął się smutno. W jego oczach nie było już tych iskerek jakie widziałam, gdy podawał mi kwiaty. Rękaw swetra miał umoczony w herbacie, a z kieszeni spodni wystawały mu jakieś kartki.

- Dzięki, pewnie, wszystko się przyda. Miło, że wpadłeś.

Odprowadziłam go do drzwi, na dworze był już wieczór, ciemniejsze chmury nadciągały ze wschodu. Na drodze było pusto, przy sklepie też nikogo już nie było, tylko koło bładoniebieskiej kapliczki przy drodze klęczał jakiś chłopczyk i modlił się. Patrzyliśmy na niego oboje i wtedy przeszło mi przez myśl, że może jest w tym coś więcej. Coś więcej niż sądziłam jest w tym dniu, w tej drodze, kapliczce, która nagle ożyła i zapachu parzonej kawy w

powietrzu. Po chwili Mateusz odwrócił się i zaczął iść powoli pustą, brukowaną drogą.

- Mateusz?

- Tak?

- Nie mów nikomu, że tu jestem, ale możesz wpadać kiedy chcesz...

- Wiem, będę.

Powiedział i uśmiechnął się lekko, po czym odwrócił się i znów zaczął powoli iść. Dziecko przy kapliczce wciąż się modliło. Był to chłopczyk, może dziesięcioletni, ubrany w beżową kurtkę i ciemnozieloną wełnianą czapkę. Klęczał ze złożonymi rękami, miał przymknięte oczy i pochyloną ku ziemi głowę. Wokół szyi miał zawiązany zielono-niebieski szalik w paski. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Mateusz był już gdzieś daleko. Na dworze zrobiło się chłodniej, zapach kawy stawał się coraz mocniejszy, na ciemnym niebie zapalało się coraz więcej gwiazd.

Wróciłam do domu. Weszłam do kuchni i nastawiłam wodę na herbatę. Sprzątnęłam ze stołu pudełko po ciastkach i dwa puste kubki. Pozamykałam szafki i zaczęłam zmywać naczynia, nie mogłam jednak zebrać myśli. Na stole stała otwarta reklamówka. Podeszłam do niej. Ze środka wyjęłam: farby, terpentynę, pędzle i pastele. Ułożyłam wszystko na stole i już chciałam ją złożyć, kiedy zobaczyłam, że na samym dnie leży pomięta biała koperta, a w środku niej kartka z męskim, nierównym pismem:

Sto razy prościej byłoby na pewno
gdybym się mylił. Ale się nie mylę:
jesteś najlepszym miejscem tego miasta,
centralnym punktem.

Kiedy wracam do miasta – to do ciebie wracam.

Miasto po prostu nie istnieje, kiedy
nie ma w nim ciebie. Rozpadają się
dekoracje. Są zgliszcza. Rumowisko jest.

Nocą na moście ze zgubionych kluczy,
piór wiecznych, dokumentów – odnajdujesz się.

Miasto istnieje, jeśli ty zechcesz.

Miasto odpływa, jeśli chcesz.⁴

¹ Odnośnie powieści Michała Bułhakowa, „Mistrz i Małgorzata”.

² SKM – Szybka Kolej Miejska.

³ Klasa FU – klasa o profilu form użytkowych.

⁴ Marcin Świetlicki, wiersz pt. „Uwodzenie”, z tomu „Czynny do odwołania”, Kraków 2000r.

Twarze, miejsca, podziemne rzeki, dalekobieżne pociągi

(fragment)

Błogosławieństwo

Uciekłam z obrazu Ensora.

Wyrwałam się z karnawału masek. Szukam teraz schronienia dla mojej twarzy, staram się uspokoić nerwowo przyspieszony oddech.

Znowu dworzec. Ławka na peronie. Wakacyjny falujący z peronu na peron tłum, przykuty do brązowych pagórków toreb i kolorowych wzniesień plecaków.

Na skraju ławki siedzi kobieta. Zaraz... Ależ to Ona! Tak! Nie mogę się mylić.

Jej beret wywiedziony z Rembrandta, siwe kosmyki włosów w nieładzie spod tego beretu. To moja Siostra Świetlista. Ta, która kiedyś powierzyła mi tajemnicę największą, tajemnicę Drogi.

Patrzy ponad falującym tłumem. Jej uśmiech daleki, ledwie zarysowany uniesionymi kreskami kącików ust.

Jak jej powiedzieć, że tu jestem... jak rozproszone myśli pozbierać...

Układam w myśli całe monologi, podczas gdy komunikaty dworcowe oznajmują bezustannie odjazdy i przyjazdy pociągów, a falujący wakacyjny tłum chciałby, przeskakując z peronu na peron, wykupić się od ciężaru brązowych pagórków toreb i kolorowych wzniesień plecaków.

Ona tymczasem podnosi się z ławki. Idzie powoli, dumnie wyprostowana. Zbliża się do mnie!

Przykłada, białą, wąską, milczącą dłoń do mojego ramienia. Okruchy jej uśmiechu osiadają na mojej twarzy. Nie, to nie jest zwykły gest pocieszenia. To błogosławieństwo. Na dalszą drogę.

Siostro moja Świetlista, myśli moje chore, a sny zatrute.

Wymknę się sennym majakom, ucieknę od nich pierwszym pociągiem, jeszcze dziś.

Jeszcze raz. Spróbuję...

Wiara

Rzuciała się w każde otwarte ramiona.

Biegła z najwyższych schodów do cienia uśmiechu. Wierzyła.

Nie, nie była fanatyczką. Należała raczej do tych, u których wiara jest nieuleczalna.

Musiała dźwigać więc przed sobą kulę z ciężkiej brunatnej mgły, która w zastraszającym tempie powiększała swoją objętość.

Gdy spotykali ją dawni znajomi, niewątpliwi esteci, apelowali głośno do jej rozsądku;

- Na co ci to brzydactwo?! Opamiętaj się!

Uśmiechała się tylko, bo przeczuwała za najbliższym zakrętem, na zatłoczonym peronie czyjeś błyszczące oczy i biegła im w myślach na spotkanie. Schudła na podobieństwo i obraz gotyckich świętych, zaś kula, którą dźwigała ciągle, żywiąc się nią, rosła...

Czasem, gdy idę ulicą, napotykam na drodze mur z gęstej, brunatnej mgły, na którego szczycie dostrzegam nonszalancko rozwiany kosmyk fosforyzujących, zielonych włosów.

Mijam ją w ciszy, z szacunkiem.

Bluszcz i niepamięć. Sen.

Mundury. Zapięte wysoko pod szyję. Mundury w kolorze wypłowiałej ochry. Siedzą, polerują łańcuchy, potrzaski o ostrych metalowych zębach, nacierają woskiem sznury zdolne unieść i zawiesić ponad ziemią ciężar człowieka, liczą przemyślnie obcęgi i szpikulce.

To jest komisja usuwania zbędnych dat z pamięci. Mówią, że pracuje już trzeci tydzień. Oparta o framugę nisko sklepionych drzwi, nie mogą nadzieić się ich dbałości o narzędzia tortur. Pokazują, że teraz kolej na mnie. Wloką mnie do sąsiedniej izby. Zapadam się w chłód, wilgoć i ciemność. Czyjeś ramiona osadzają mnie w wiklinowym i stanowczo zbyt małym foteliku. Inny głos anonsuje tortury światłem. I już snopy różnobarwnych światła chłozczą mnie ze zmiennym natężeniem i siłą. Wszędobylskie światła wdzierają się w każdy kąt mojej postaci, najboleńsze wchodzą pod powieki, które usiłuję zaciskać.

Mój krzyk toczy się po schodach dawnej wieży ciśnień, która jest teraz ruiną, porośłą bluszczem i niepamięcią.

Taniec wolności

Podnoszą się, wyłażą spod ławek, gramolą z otchłani oddzielającej peron od szyn...

Pewne, że nie przyjedzie już żaden pociąg, a rozrzuceni po okolicy dróżnicy zasnęli w swoich budkach nad samotną partią szachów.

Oto, wszystkie pozostawione na dworcach obietnice, ruszają do tańca...

Grande dance du liberte! Wielki taniec wolności!

Wirują, rzucane podmuchami powietrznej trąby, piękne, długonogie, z rozwianymi włosami i garbate, z przetraconym grzbietem, koślawe i brzydkie, stare i spleśniałe, w strzępach ślubnych, w strzępach trumiennych, podskakują arytmicznie.

Grande dance du liberte! Wielki taniec wolności!

Wszystkie nasze obietnice...

Porzucone na dworcach, a więc wolne.

Trzeba im mówić o gwiazdach

Czasem przychodzą do mnie listy Ze Skraju, albo Z Samego Brzegu...

Zwołuję wówczas pospolite ruszenie telefonów i na kamiennie surowych dworcach oczekuję pociągu, który nie może się spóźnić...

Pociągi jednak jeżdżą tak wolno, bowiem spełniają nieodmiennie rytualny obrzęd kolebania, stukania, skrzypienia i zwalniania na rozjazdach.

Ściskam w dłoni aż do bólu złotorudy kasztan, naiwną magią próbuję przyspieszyć bieg pociągu i wierzę, że zdążę, że przybędę na czas.

U kresu podróży mam w ręku tylko złotawy pył, który na obcym dworcu, wśród obcego tłumu, osypuje się i przemienia w dwie strugi rozproszonej, żółtawej poświaty, a stare karabiny czyhające na rogach ulic, w piwnicach i na poddaszach, zacięły się albo nie wiedzą jeszcze o moim przybyciu...

Tak, przechytrzymy ich czujność albo uśpimy oferując pełne garście reladormu, nam potrzebnego już na nic.

Będziemy topić je w rzece i studniach, tak, we wszystkich studniach; artezyjskich i zatrutych, głębokich i otulonych milczeniem... Bo jeszcze nie czas, na nas jeszcze nie czas!

Bo kto opowie tym, którzy zapomnieli, że są gwiazdy? Kto skieruje pochylone ku ziemi głowy w górę?

I uwierz, jeśli potrafisz, uwierz – ciągle jesteśmy potrzebni naszym ceniom.

W bieli

Dławię się bielą, która nie jest tu niczym obrus świąteczny, ale jawi się jako całun, który zatyka usta, nos, dławi nagłą lawiną, grzebiąc wybory i nadzieje.

Gawrony znaczą białe pola tysiącem śladów – symboli wszystkich kultur, stąd rysunek ich zagmatwany, nieczytelny, niejasny. Tajemniczy komunikat z Wieży Babel.

Miasteczko wcześniej kładzie się spać, owijając pierzynami, kocami, gasząc wcześniej światła w oknach. Miasteczko, które im bardziej czujesz się stąd, tym bardziej obcym cię czyni. Różnisz się barwą swetra, włosów, głosu, konstrukcją zdań, które wypowiadasz, melodią piosenki, którą nucisz pod nosem wracając ciemną ulicą. Miasteczko patrzy za tobą trop w trop. Stygmatyzuje.

W brzezynie nieopodal piramidy Hrabiego T. zaskakuje mnie świeży przypływ bieli. Grube płatki – puch ze skrzydeł spóźnionego anioła spadają na włosy, na twarz, chłodzą powieki. Połykam je łapczywie. Bałwochwalcza komunია.

Głos Montserat Figueras z płyty przypiera do skały nad urwiskiem, gna na oślep starymi uliczkami Lizbony, kołuje pod sklepieniami mrocznych kościołów, zawłaszcza przestrzeń. W tle chór – zbiorowy świadek, komentator prawdy i piękna.

Rubinowe krople na dnie kieliszka. Kot w oknie. Zaczarowany. Wpatrzony w granat obłoków nad białą ziemią. Cichnąca mantra wschodzącej nocy.

Bez końca

Rozgarniałam we śnie stada dzikich gawronów, które czarną chmurą wyrastały przede mną. Chrapliwa, chropawa lamentacja ich pieśni to zacichała, to wznosiła się w górę. Kłębiły się w powietrzu zagubione pióra i opadały na ziemię, a ja rozgarniałam je, musiałam przebrnąć bowiem przez ten ruchliwy, furkoczący świat. Spieszyłam się na egzamin. Puste pola zapełnione tylko gawronami zdawały się nigdy nie kończyć. Machałam rękoma, coraz bardziej podobna do czarnych ptaków. I nie było nic strasznego w tej przygodzie. Po prostu trzeba było iść na przód. I szłam. A gawrony też robiły swoje: były. Wzlatywały w górę, nie za wysoko. Współlistniały ze mną w moim śnie. One i ja w wiecznym ruchu. W drodze. Bez końca.

Tęsknota

Nie tęsknić do imion dalekich... i być może nie istniejących. Umieć głośno wypowiadać te, które są, chociaż to trudne.

Pamiętać bezustannie, żeby nie chować się za ćwierć-gestem, półprawdą, innym opakowaniem zastępczym, żeby nie czynić, mimo miłości własnej i miłości do własnego lęku przed Drugim – Pierwszym Człowiekiem, Innym Człowiekiem, nie czynić z tego, który jest obok wilka...

Albowiem wszyscy bładzimy w ciemnościach, łakniemy drobin zaufania i wiary u tych, którzy tutaj, tak blisko jak liść, który otarł się o moją dłoń, gdy wracałam ze spaceru, u tych, którzy tutaj, powtarzam, a nie na planetach drobnych jak łąka albo kropla deszczu.

Dzielić się człowiekiem, który jest w tobie, jak chlebem. Po prostu, na otwartej dłoni.

I mimo wszystko pielęgnować tęsknotę, która nas niszczy. Tęsknotę do imion najdalszych...



Chłopiec w Punkcie Archimedesa

Maciek leży obok. Nie wiem, w jaki sposób utknęliśmy tutaj na całą noc. W sianie. Na strychu. Jest wczesny świt. Brzask. Albo poranek. Od dachu bije parna ciepłota. Swędzi mnie ciało. Coś po mnie łązi. Jakieś mikroskopijne stworki, których nie widać gołym okiem. Nie ma po co otwierać oczu.

Z zewnątrz dochodzą zwierzęce oznaki niepokoju. Krowa muczy na całą okolicę. Chce na pole. Beczy baran. Gdzieś chce. Gdzie? Nie wiadomo. Na wolność? Jedyna kura w obejściu, udaje, że zniosła jajo. Wiadomo, z niczego zawsze największy hałas.

Na dole, w chałupie, nikogo nie ma. Ledwie już widząca babka Rozalia potyka się o sprzęty. Wie, ale nic nie może. Maciek sakramencko zmęczony. Czuć go niestrawnością. Znaczy, że wczoraj pił. Mógłby w okamgnieniu zrobić, co trzeba. Szturcham go łokciem. Jest w całości nieobecny, nieskory, nieużyty i w ogóle nie.

Gdzie się podziali - ciotka Bronka, wujek Józef, kuzynki Hanka i Zośka? Tylko msza, wesele, pogrzeb mogły ich wymieść w świat.

Złazę po drabinie ze strychu. Zaliczam poranny wychodek. Napieram na rozklekotaną furtę obory. Pół drzwi, pół okna. Wita mnie jedyna świnia. Może wieprzek. Inteligentnie chrząka. Jakby tłumaczył uzasadnione zdenerwowanie swojego świata.

Z baranem, gąsiorami, myszami i resztą, co się rozłazi po polu - jak? W ogóle nie mam pojęcia. Sam nie dam rady obsłużyć zwierząt porannym zainteresowaniem. Ani umiem, ani mogę. Babka jak zwykle siedzi bezsen- na, tak jak siedziała na łóżku poprzedniego wieczora. Nie ruszy jej żadna obca prośba. Chyba żeby sama chciała na chwilę wysilić resztki zetłałego wzroku. Mnie i tak w ogóle nie dostrzega. Dla niej jestem mniej obecny niż najmniejsza pchła.

Maciek ani myśli bez nagabywania zleźć ze strychu. Na moje krzyki uodporniony. Nie ma takiej siły żeby mu cokolwiek wyperswadować.

- Jak cię lubię – proszę żeby, chociaż posłuchał, co się dzieje w obejściu. Nie musi nawet otwierać przekrwionych oczu.

- Coś mi się wydaje, że one wszystkie czują za blisko obcego, jakbym tutaj wziął się skądś – mówię.

- Co prawda, to prawda – Maciek na to dziwnie i chętnie się budzi.

Nawet najpierw ani do chałupy nie złązi, ani do wychodka. Od razu bierze się za zwierzęta. Jest okazja, żeby od początku do końca miał władzę nad wszystkim. Przecież Rozalia już nic nie może.

- Chodź – mówi.

Tylko to. Reszta będzie całkiem po cichu. Domyślam się i o nic nie pytam. Zaczyna od kury. Jednym, niewielkim kamieniem trafia w podudzie.

- W pałkę – poprawia mnie Maciek.

Kura, jak dziurawa łądz przechylona na jedną stronę - nieruchoma - już nie gdcze, nie grzebie. Na barana Maciek szykuje pułapkę na drzwiach stodoły. Najpierw od wewnętrznej strony, na wylot, wbija trzy wielkie gwoździe. Wystają po właściwym kawalku. Nie żeby zabić, a tylko zadrapaniami baranowi uświadomić jego głupią zawziętość. Potem uchylamy lekko wrota od stodoły. Ja zostaję w środku, Maciek odwiązuje barana, kopie go z całej siły w podbrzusze i ucieka do stodoły, blokujemy wejście, a baran wali łbem we wrota, harata czubkami gwoździ skórę między rogami. Strach pomyśleć, co by było, gdyby utracił sobie rogi. Jest i z baranem spokój.

Dla krowy Maciek łaskawy. Wyciąga z sieni cebrzyk. Z kuchni przynosi w misce pomyje, przelewa do cebrzyka, we dwójkę targamy picie do obory. Krasna żłopie ile wlezie. Jest z tego powodu też całkiem już spokojna.

Kota Maciek wpuszcza do szopy. Obaj wiedzą dokładnie, w którym rogu pod podłogą myszy mają gniazdo.

Gąsior, jeśli nie prowokowany człowieka łażeniem bez potrzeby, może sobie na wolności skubać bezpiecznie dla siebie i ludzi. Maciek zapędza go za chałupę. Tam skubania wystarczy dla wszystkich gąsiorów na świecie. Trawa nie koszona od śmierci dziadka.

Kiedy ze zwierzyzną zrobiony porządek, znowu Maciek odzywa się tylko jednym słowem.

- Chodź – powtarza.

A ja idę, jakby po naukę, bo wszystko dla mnie pierwszozna. Jak święta nowina. Jak największa tajemnica.

Będziemy jeść. Nie tam chleb, mleko.

- Coś specjalnego – powiada Kazimierz.

Przedtem w oborze szcza. Nic się nie wstydzi. Pokazuje mi kuśkę. Na dójkę Krasnej patrzy. Rozumiem porównanie. Kciukiem i wskazującym palcem naciąga skórę, aż się błyszcząca żołądz pokazuje w całości. Powtarza kilka razy. Twarz ma skupioną. W miarę pęcznienia kuśki, robi się

więcej błady. Nie podoba mi się zabawa kuzyna. Marszczę czoło. Maciek przerywa.

- No! – kończy poranne dojenie. - Chodź – znowu gdzieś mnie ciągnie.

Idziemy za aneks Letniczki, gdzie i ja, jako letnik, chociaż spokrewniony, rezydowałem za życia starej. Włazimy schyleni między belki podcieni. Głowy trzymamy blisko ziemi. Śmierdzi starym, ludzkim gównem. Jeszcze czymś, czego w życiu nie wachałem. Nie dziwi mnie to. Kilka razy podglądałem Maćka, kucającego tutaj z opuszczonymi portkami, jakby nie mógł robić kupy normalnie, w wychodku. - Na co mu taka niewygodność? – myślałem. Teraz z próchniejącego kopczyka wygrzebuje patykami kawałki jakiejś szmaty, nie szmaty. Przysuwa to bliżej oczu. Widzę owalne, szare kawałki waty z bordowymi pasemkami po środku.

- Tym się tamowała Letniczka – wyjaśnia. Nic z tego nie rozumiem. - Wiesz, co to znaczy? – pyta. Zaprzeczam skinieniem głowy. - Że stara była do końca do używania. Obca była, mogłeś ją bez grzechu trykać.

Dalej nic z tego nie rozumiem, czuję tylko pot Maćka. Jakbym wachał barana pod stodołę, bez opamiętania walącego łbem w drewniane wrota.

- Nie brało cię nigdy? – klepie mnie w udo.

- Nie – odpowiadam wystraszony, bo zaczynam rozumieć, dlaczego coś mi rośnie w slipach.

Wycofujemy się w milczeniu za stodołę. Schodzimy jeszcze niżej, w okolice wypalonych ruin wapiennych fundamentów pierwszej chałupy wujostwa. Jeszcze w ostatnim roku życia Letniczki wszyscy omijali to miejsce. A to z powodu dzikiej, szerszeniowej barci. Szerszeni już nie ma. Gniazdo wypalił piorun. Spopielił przy okazji resztki rodzinnej pierwociny. Na popiołach najbardziej udają się gołąbki. Samosiewne grzyby. Surojadki. Zbieramy z Maćkiem tylko średnie. Są najlepsze. Wielkie są zbyt oblaszkowane, za mało mięsiste. Z małych źle schodzi szara, gorzkawa skórka. Wracając wygrzebujemy w krzakach jaja z dzikiej grzędy. Wiadomo, że zniesione przez sąsiedzkie kury. U wujostwa już się nic nie niesie - poza echem wściekłych wrzasków wujka Józefa.

O nic nie pytam. Ufam Maćkowi. Jest już chyba mężczyzną. Należy mu się, choćby na chwilę, władza. Niech tak będzie. Niech tak się stanie.

Przed wejściem do chałupy, zatrzymujemy się w sieni. Maciek otwiera pakę, nabiera w koszulę trochę mąki.

- Mamy już wszystko – mówi, jakby wypowiadał zaklęcie.

Jesteśmy sami. Rozalia się nie liczy.

- Potrafi już tylko żreć – uspokaja mnie Maciek.

Nie jestem przekonany. Czuję jej ślełą obecność, jej intensywne mil-

czenie, skupioną pod ścianą nienawiść do wszystkiego, co się swobodnie porusza, wydziela zapachy, wypowiada słowa. Maciek myśli, że to strach. Ja wiem, że to respekt, który się Rozalii po prostu należy, nawet kiedy kuca koła wyra, wypróżnia się i podsuwa ręką kupę pod łóżko. Jestem wzruszony. Jakbym tego w ogóle nie widział.

Maciek naprawdę niczego nie widzi. Wysypuje mąkę na stół. Formuje krąg, robi w środku dziurę i wbija tam jajko. Zaciąga wszystko wodą, soli - robi ciasto. Rozwałkowany plaster tnie na równe, długie paski. Każę mi rozpalić w piecu. Grzybów nie myje. Wycina nóżki, zdziera z lebków skórki, odwraca je blaszkami na wierzch i soli. Wpycham w fajerki suchą słomę. Płyta na piecu szybko robi się gorąca. Maciek kładzie tam po kolei ciasto i grzyby. Paski pęcznieją, na powierzchni robią się złociste, pękające koła.

Spod ściany, od łóżka, słychać babcine pociąganie nosem. Rozalia unosi głowę do góry, wyciąga szyję - próbuje na węch zlokalizować źródło zapachów. Wstaje. Wysuwając prawą stopę do przodu, przesuwa się w kierunku pieca. Maciek klepie mnie w ramię. Pokazuje Rozalię. Kiwam przecząco głową. Znaczy, że nie rozumiem. Maciek stawia taboret na linii babcinej marszruty. Śmieje się cicho. Stara człapie powoli, ostrożnie, z namaszczeniem. Maciek celebrytuje tę wędrówkę, nawet za cenę przypalenia grzybów. Babka otwiera oczy, pokazuje mleczne, szare gałki, jakby pozbawione rogówek. Boję i cieszę się, że widzi. Maciek odgaduje moje dwuznaczne obawy. Kiwa przecząco głową, przykładając palec do ust. Z twarzy nie schodzi przewidujący uśmiešek. Babka dochodzi do taboretu, potyka się i pada z impetem, ale niecałkiem sztywna, na klepisko. Na szczęście, instynktownie wyciąga ręce i nie robi sobie krzywdy. Chcę do niej podejść, pomóc. Maciek mnie zatrzymuje. Rozalia nie klnie, nie próbuje nawet wstać. Na coś czeka. Maciek ściąga z płyty kawałek placka, rzuca go na klepisko. Kiedy babka, wachając, dociera do niego, prawie bierze go z ziemi ustami, Maciek stopą odsuwa go w bok. Tak kilka razy. Aż Rozalia, ciągle leżąc, ze złości łapie Maćka obiema rękami za nogę. Chce ugryźć. Wtedy Maciek podnosi z klepiska ciasto.

- Na - mówi, wpychając babce brudny kawałek w gębę.

Rozalia połyka kęs w całości. Wycofuje się na wyro jak najedzony pies. Nie prostuje się. Nie podnosi głowy. Nie widać, co ukrywa pod ściśniętymi powiekami.

- Może ją, cholera, przypadkiem coś boli? - pytam. Maciek nie rozumie.

- Zła jest i tyle - odpowiada. - Byleby jeść dostała. Głodu boi się bar-

dziej niż śmierci i zre jak nieśmiertelna. Zrozumie to, kto?

Babka wszystko słyszy, ale jakby jej znowu nie było.

- Nic nie powie. Zawzięła się – wzdycha Maciek.

Kończy obracanie podpłomyków, dosalanie grzybów. Babka znowu unosi głowę - obwąchuje powietrze. Spod lewego oka splywa po bruzdach mętna kropla. Wysycha po drodze, nie dosięgając kącika wąskich ust.

- Jużeście swoje zeżarli! – krzyczy jej w twarz Maciek.

Nie dziwi kuzyna, że nie jem chrupiących kawałków ciasta, ale grzybów nie daruje.

- Jedz – każe. - Poczujesz jak się w środku w człowieku rozkłada, co trzeba – dodaje tajemniczo. Patrzy i czeka na pytanie. – No – zachęca. Nie wiem, czy do jedzenia, czy wyrażenia niepokoju. - Starej niewiele potrzeba, jeszcze ze dwa, trzy kawałki i będzie spokój.

- Jej głód cię niepokoi? – pytam.

- Raczej jej apetyt – krzywi się Maciek. - Gdybym tego nie wiedział, dałbym jej zeżreć surowe – mówi, a ja czegoś się lękam. - Nie bój się – uspokaja mnie Maciek. - Zjadła, a i bez tego nieżywa. Pewnie jej jeszcze jakąś nadprzyrodzoną odrobinę brakuje.

Rozalia z omszałej, po męsku zarosniętej brody, wyciera ślinę.

- Chodź – Maciek coś nowego wymyśla. - Zobaczysz, co stara robi, kiedy jej już nikt nie widzi – syci się chwilową władzą.

Idziemy do piwnicy. Z glinianego garnka z mlekiem, odstawionym na kwaśne, jeszcze przed zebraniem z wierzchu śmietany, Maciek odlewa pełne pół litra do blaszanego kubka, z którego wujek Józef pija wódkę. Wracamy do sieni. Włazimy po drabinie na strych. Kiedy jesteśmy już na górze, stąpamy na boso, ostrożnie, po cichu - że niby w całej chałupie nie ma żywego ducha. W odeskowanej części nad sienią, ale bezpiecznie daleko od włazu, odrzucamy siano do gołego stropu. Przez szpary między deskami widać, co dzieje się na dole. Znad izby nic nie da się zobaczyć. Wie, czy nie wie o tym Rozalia? I tak nic nie widzi. Teraz dodatkowo nic nie słyszy. Zwierzyna po pohańbieniu - cicha.

Stara czuje, że nikogo nie ma. Zsuwa się z wyra, pełźnie na czworaka do pieca, maca pionowe ściany i tak się wspomagając - wstaje. Kładzie rękę na gorącej płycie, przesuwając w te i w te, aż czuć słodki zapach pieczonego mięsa. Czujemy to na górze. Babka zgarnia z fajerek najmarniejsze resztki jedzenia, ani na chwilę nie odrywa dłoni od rozgrzanego pieca. Gdy już dokładnie wygłaskała całą płytę, przystawia do gęby rękę i wylizuje z psią namiętnością.

Wraca do raczkowania. Z uniesioną głową, obwąchuje powietrze, prze-

mieszczą się do wyjścia. Jest już przy progu. Najpierw lewą dłonią zawadza o cebrzyk. Pochyla głowę, wacha. Potem prostuje się i na klęczkach wybiera z cebrzyka rozmiękłe kawałki chleba. Wkłada rozpadające części do ust. Aż na strychu słychać głośnie mlaskanie. Wstaje na nogi. Prawą stopą, z niespodziewaną siłą odsuwa cebrzyk. Robi sobie przejście. Przystępuje próg. Jest w sieni. Z góry widzimy siwą, znowu pochyloną głowę. Bez wyciągania rąk, jakby z zapamiętania, robi kilka pewnych kroków w kierunku paki z ziarnem na jesienny zasiew.

Żeby udały się jare i oziminy, ziarno musi być bezwzględnie suche. Babka Rozalia w bezwarunkowym odruchu, codziennie - czy ktoś to widzi, czy nie - wsuwa ręce po łokcie do paki i wyciąga garściami spod spodu, a nawet z samego dna, wilgotniejsze ziarno na wierzch, żeby przeschło. Robi to od zawsze, sama nie pamięta od kiedy i po co maca ziarno, jakby klepała codzienny pacierz.

Może Rozalia wie, albo czuje, że to ziarno jest, co roku początkiem wszystkiego, istotą wszelkiego życia na świecie? Czuje od tego macania więcej ciepła niż od najczulszego przytulania, niż od najtkliwszych słów. Więc teraz jakby się modli. Gdyby w półmroku sieni przyjrzał się starej z bliska, to by wypatrzył leciutki grymas uśmiechu, mikroskopijny strzępek zadośćuczynienia na marmurowej twarzy.

Ze strychu tym bardziej nie widać twarzy. Niewiele słychać poza domową ciszą, szelestem wiatru smagającego strzechę, szmerem przelewającego się poniżej strumienia.

Maciek szturcha mnie łokciem.

- Widzisz? – pyta.

Widzę babkę Rozalię. Myślę, że czegoś szuka, grzebie w pace bez zrozumiałego dla mnie powodu. Nawet się nie pomyli, nie wsunie ręki do paki obok, tej z mąką.

- Siał jej się patrzy – tłumaczy szeptem Kazimierz. - A gówno! – odgraża się już głośnie.

Przez szparę w podłodze wylewa mleko. Cienką strużkę celuje w głowę Rozalii. Trafia za pierwszym razem. Babka z początku nic nie czuje. Dopiero, kiedy mleko spływa po twarzy, od czoła, obok nosa, do ust - wyciągniętym językiem smakuje ciecz. Upewnia się, czy to tylko deszcz spod strzechy, czy być może szczyny Józefa - który jak dobrze pijany, nie złązi do wychodka. Rozalia klęka przed paką, ręce składa do modlitwy. Raz głowę do piersi przyciska, nachyla ku ziemi, jak przy mea culpie na mszy, raz podnosi do góry, ku niebu - tak na zmianę kołysze się w niezrozumiałej podzięce. Nerwowo porusza ustami, szepce pod nosem. Ze strychu nie sły-

chać, komu i za co dziękuje. Że dziękuje, widać wyraźnie. Maciek, dla odmiany, ucho przykłada do desek.

- Cicho! – pomaga ciszy, chociaż wydaje się, że ciszej już być nie może.
- Po jakiemu ona gada? Austriacki? Po żydowsku? Nie może być, jak w kościele na odpuszcie? – zastanawia się półgłosem.

Nikt na świecie nie zrozumie, w jakim języku, z jakim Bogiem układa się Rozalia, kiedy na dole, pod ręką - ziarno, a z góry - mleko. Więszego cudu Rozalia nie potrzebuje.

Maciek wstaje, jakby go wrzątkiem pokropił. Łazi po strychu, podskakuje, aż w oknach na dole pobrzękują szyby. Wreszcie kopie ze złości w jakiś strychowy rupieć.

- Pacierze klepie franca nadaremno! – wścieka się.

Dudnienie na górze, z kolei babkę wyrывa z zaświatów. Gdy rozpoznaje paskudnie piskliwy głos wnuka, prostuje się jak za panieńskich czasów, oczy szeroko otwiera, podnosi głowę już bez ślepej pokory.

- Żebyś ty zdybie z głodu spuchł! – krzyczy z dołu.

- To i gada po ludzku jak się czego z nieba zachciewa! – odszczekuje z góry Maciek. - Chcecie? – schyla się, łapie za ucho kubek z mlekiem i kłęcząc na jednym kolanie wylewa przez szparę wszystko, co zostało, prosto w odsłoniętą, otwartą twarz Rozalii. - To macie! – resztką mleka rozbryzguje się po zmarszczkach i wpada niemal w całości do paki z przeschniętym ziarnem.

Rozalia trzęsie się cała z przerażenia, bo i oprócz mleka zmarnuje się zasiew.

- Nic ci już sakramencki pomioście nie pomoże! – wyrokuje i rusza na przeciwległą ścianę.

Wyciąga z koryta wielki tłuczek do ugniatania świńskich ziemniaków. Maciek staje rozkraczony nad otwartym włazem.

- Możecie mi oblizać wory! O! – potrząsa moszną.

Babka wsuwa bosc stopy w szpary między belami, wdrapuje się na górę.

- Krucazeks! – klnie, widząc siwą głowę Rozalii pod stopami.

Odwraca się do mnie i popycha do okna z drabiną. Spycha mnie w dół. Spadam niby nie z wysoka, ale wystarczy żeby zwichnąć nogę. Za mną Maciek, podwójnie sfatygowany, łąduje na psiej budzie.

Rozalia schodzi ze strychu inaczej, zwinnie przekłada nogi po szczeblach drabiny. Coś ją nagle wyprostowało. Jakaś paskudna siła. Gdy jest już na ziemi nie patrzy w naszą stronę. Wyciąga ręce do przodu, maca ścianę i tak przesuwa się do rogu chałupy. Czekamy. Wreszcie znowu jest

cicho. Tylko pies szczeka, jakby przy budzie nie swoi, a obcy lizali rany.

- Chodź – teraz ja mówię tak do Maćka.

Tylko tyle. Więcej nie gadamy. Podpierając się nawzajem dochodzimy do izby. Pies ujada bardziej i głośniej. Rozalia siedzi na wyrze, jak wczoraj, przedwczoraj i jeszcze wcześniej - zgięta w pół. Spod przymkniętych powiek nie patrzy na świat.

Siadam na taborecie, koło pieca. Maciek łązi po całej izbie. Raz patrzy na mnie, raz w okno, ale najczęściej łypie na babkę. Przystaje wreszcie miotać się po chałupie, zatrzymuje się przy wyrze, nachyla nad babką. Macha łapami przed oczami. Rozalia nie reaguje.

- Zobaczycie żarcie jak świnia niebo! – wrzeszczy jej prosto w twarz.

Rozalia dopiero ledwie się porusza, kiedy pies zaczyna skamleć. Przechuwa, jak zwierzę, że idą swoi. Kiedy ustaje psie tarabanienie łańcuchem o budę, w progu jak zjawą wyrasta wujek Józef. Maciek, kuśtykając, odskakuje od Rozalii.

- Ale mnie ojciec wystraszył – uspokaja się fałszywie na widok ojca.

- To mi diabelska zamiana – wzdycha Rozalia.

Wujek ze zdziwienia milczy. Zza pleców przepycha się ciotka, za nią Zośka, na końcu Hanka. Jedna przez drugą gadają, co tam w mieście i na całym świecie. Józef z wrażenia próbuje napić się prosto z wiadra, ale zaraz wypłuwa i wrzeszczy, żeby ze studni przyniósł zimnej wody.

- Jak cię lubię – uśmiecha się wujek i podaje mi wiadro. - Starą wzięło na gadanie? – pyta podchwytliwie.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Maciek żadnych znaków nie daje, niby, że nic się nie stało.

- Wydawało się wam – zbywam wuja

Nie za bardzo mi idzie wyciąganie kołowrotkiem wiadra ze studni. Z okna chałupy patrzy wujek.

- Dawaj, dawaj, cycku! – wrzeszczy, co znaczy, że już niczego nie podejrzewa. - Idźże tu! A na jednej nodze! – normalnie się niecierpliwi.

Ciotka wyklada na stół to, co za spieniężenie na kleparzu papierówek, renklod i innych owoców pokupowała w mieście. Są tulejki miętowe, salceson z taniej jatki, ocet, sól. Są słoiczki z fioletowymi pieczętkami zamiast etykiety. Jest flaszka wódki z czerwoną kartką. Na końcu ciotka wyjmuje bułkę. Będzie dzielony piękny, okrągły, chrupiący, wyglansowany jajkiem po wierzchu bajgiel. Poza mną, nikt nie interesuje się bułą. Ciotka odkrawa gruby plaster salcesonu, wkłada go do gęby i połyka w całości. Wyciera ręce o bluzkę, żeby w czystości wziąć bułkę. - Teraz będzie dzielić – myślę z nadzieją. Ale ciotka idzie z nią do wyra.

- Jedzcie matka. A pamiętajcie podziękować przed Bogiem –podaje Rozalii najlepszy ze wszystkich przetransportowanych ze świata wiktuałów.

Idę do kobiet po swoją część, ale babka pochłania bułkę w całości, szybciej niż ja zdążyłem pomyśleć o jedzeniu. Już miałem krzyknąć, ale Maciek w odpowiedniej chwili łapie mnie za rękę.

- To jest dopust – tłumaczy.

- Ale przecież szkoda! – protestuję.

Bo ani myślę zastąpić pierwotnie mdłymi podpłomykami, albo rozmiękczonego chlebem z cebrzyka, pszennej bułki drożdżowej.

- Ja też znam smak paschy tylko z opowieści – przyznaje się Kazimierz.

Mam rozumieć, że wszystko, co żywe czekało w milczeniu na swoją kolej. Mściwie patrzę jak Rozalia rozszarpuje zębami na strzępy ostatni kęs odświętnej bułki.

Maćka odciąga mnie od wyra do stołu. Wkłada mi w rękę aluminiową łyżkę. Podsuwa do połowy opróżniony słoik. To znaczy, że odstępuje mi część swojego zarcia. Wygrzebuję ze słoika różową, gulaszową maź. Nie potrzebuję powtarzać. Czuję nasycenie. Maciek mnie adoruje. To pewnie wielkie wyróżnienie jeść w dzień powszedni, o byle jakiej porze, bez żadnej zwyczajowej okazji - tyle mięsa na jeden raz. Dlatego Maciek zachęca mnie do kolejnych łyżek. Nie znam jednak tego smaku, żeby zasmakować.

Wszyscy zajmują się jakimś gadaniem. Mlaskają. Jakby brali udział w rytuale. Ja czuję mdłości. To mnie nie dziwi. Dziwi mnie cisza w obejściu, jakby wcześniejszy ruch w ogóle się nie zdarzył, jakby zwierzęta tylko z powodu mojej obecności podniosły raban, jakbym nigdy wcześniej nie pojawił się opodal studni. Kazimierz patrzy na mnie. Uśmiecha się głupio.

- Zbladłeś – mówi.

A ja czuję w ustach niedobrą słodycz. Jakiś ciężar w brzuchu, kołysanie w głowie, do tego zupełnie nieuzasadniony niepokój w sercu.

- Nie bój się, jesteś ze swoimi – pociesza mnie Maciek.

Czuję się coraz bardziej nieswojo. Ciotka Bronisława, wujek Józef, kuzyn Maciek, kuzynki Hanna i Zofia - są jak ściany, jak piec, jak sufit w izbie z klepiskiem.

Kiedy w gębę robi mi się pełno, bo nie chcę rzygać prosto na stół, na którym przed chwilą leżała na ceracie piękna buła, wybiegam do sieni. Nie daję rady donieść kwaśnej zawartości na pole, zwracam na pakę z ziarnem. - Jak dobrze, że babka Rozalia nie widzi – myślę. Ale z głębi chałupy patrzy na mnie Józef. Wstaje, wybiega z izby i jest już obok mnie.

- Rany boskie! – wrzeszczy i wali mnie pięścią w plecy.

Teraz dopiero wypróżniam z żołądka nie tylko głowiznę wieprzową, ale i grzyby - czyli wszystko, co zjadłem po drugiej stronie chałupy. Wujek trzyma mnie za podkoszulek. Nie puszcza. Jeśli jeszcze raz mną potrząśnie znowu będę rzygał.

- Obcy pomiot zafajdał chleb! – komunikuje Józef.

Słysząc go wszędzie, aż pod horyzontem. Z izby leniwie wychodzi sfałtgowany Maciek.

- Dajcie mu ojciec spokój, narzął się pierwszy raz normalnie nie swojego, i tyle – wyjaśnia.

Wujek wlecze mnie do progu, wypycha za drzwi, poprawia kopniakiem.

- W chlewie twoje miejsce! – dodaje na koniec.

Ładuję na błotnistym podwórku. Nie wstaję, podpieram się rękami, w kucki przemieszczam na trawiasty garb piwnicy. Wycieram twarz dłonią. Nie idę pod studnię. - Na pewno ta woda nie jest do zmywania rzygowin – podejrzewam. – Skoro Józef żłopie ją jak wódkę?

Z okna chałupy obserwuje mnie cała rodzina. Nie czuję tylko ciężkiego spojrzenia Rozalii. Wiem, że jakaś niegodność wylazła ze mnie na wierzch. Wstyd mi. - Ale ich mam w dupie! – buntuję się po cichu. Mdli mnie własny smród. Wstaję i zbiegam do paryi, nad potok.

Kładę się wzdłuż nurtu strumienia. Nabieram powietrza i zanurzam twarz. Woda wlewa się do uszu. Słyszę głęboki szum. Daleką przestrzeń, która zagłusza wszystkie odgłosy z dziadkowego sadu, z podbiałowego wzgórze, z rozcapierzonego w dole miasta, zewsząd z bliska. Nie słyszę nawet wiolonczelowej ciszy cmentarza. Im dłużej szumi, tym bardziej przeraża. Otwieram pod wodą oczy. Widzę z najbliższego bliska dno strumienia. I nic nie widzę. Wyciągam głowę. Przemynam twarz. Uważnie nasłuchuję najbliższych odgłosów.

Siedzę nad brzegiem strumienia. Czysty. Wyplukany z uswięconego, jak się przekonałem, trawienia. - Co teraz będzie? – myślę. Nade mną głośno ćwierkają ptaki. Pode mną, ciszej, piszcza hamulce samochodów. Z boku, daleko, cichutko bije kościelny dzwon. A ja trzymam stopy w strumieniu. Krystaliczna woda przepływa między palcami. Gdy za długo im się przyglądam, wydaje się, że woda stoi, a stopy płyną. Aż strach, że cały odpłynę gdzieś na koniec świata.

Wysoko, za plecami, słyszę szczekanie psa. Ktoś się zbliża. Pies poszczekuje. - To znaczy, że dostaje jeść – zgaduję. Odwracam głowę. Zza rogu chałupy, od obory, wychodzi ciotka Bronka. Schodzi po zboczku sadu.

Czesław Markiewicz

Idzie wyraźnie w moim kierunku. Coś niesie w ręku. Nie wiem, czy się chować, czy zostać przy strumieniu? - Daleko gdzie nie mam co uciekać, wszędzie mnie tu znajdą – wyrokuję.

Ciotka jest już za blisko. Uśmiecha się. W ręku trzyma kubek. Jest pełen świeżego mleka. Poznają to po piance na wierzchu. Krzywię się. Ciotka nie pozbywa się dobrego uśmiechu. Wyciąga zza pleców drugą rękę. Podaje mi solniczkę.

- To ci pomoże, wszyscy nie swoi solą świeże mleko. Wypijesz i wrócisz do siebie, odżyjesz – mówi.

Ojcie nasz

OJCZE NASZ KTÓRYŚ JEST W NIEBIE

moja wiara nie przenosi gór
ani nie karmi głodnych
jedyne cud jaki umiem czynić
to zamiana denaturatu w wino
piję do lustra i patrzę w te siedem lat nieszczęścia
szukam naszego podobieństwa
dmuchane szkło smukłych butelek
wydłuża moją twarz w „Krzyk” Muncha
widzę Twoje plecy - śpisz
na zrogowaciałą skórę dłoni
kapią łzy
Panie
znów piję na smutno
i z bezsilności gryzę rękę
która przed chwilą próbowała uciszyć żonę
za obrazem Marii
zamiast odłożonych banknotów
tylko pajęczyna i kurz

przed nim
zapalam świece
spijają łąpczywie tlen
coraz trudniej oddychać

ŚWIĘĆ SIĘ IMIĘ TWOJE

stawem ze złotą łzą karpia
którą wysuszoną chowam na dobrą wróżbę
w portfelu znalezionym pod choinką
stopami zakurzonymi u kresu wedrówki do Betlejem
gdzie do dziś pustynia spija krew
z korony cierniowej
kamieniem rozgrzanym w dłoni
gotowym do wskrzeszenia iskry buntu
na ulicach pełnych wołania o chleb i pracę

Jerzy Fryckowski

krzewem co płonie w naszych zmęczonych głowach
i przed snem rzuca na kolana

chłodem posadzki co rzeźbi skórę węża
po ukąszeniu Kleopatry

krzyżem
który codziennie zdejmujesz z moich ramion

PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE

Panie
kolejną noc zabijam bezsenność papierosami
męczy mnie ten banalny obraz z kiepskich filmów
że utracę przytomność na środku ulicy
i nie zdążę się nawrócić
wyznać ostatniej zdrady
przypomnieć pierwszej modlitwy

ja - owieczka
na której ponoć
Tobie najbardziej zależy
to jeszcze nie trwoga ostatnie wołanie
tylko zwyczajny codzienny ból
wchodzenia po schodach
czekania na list od dzieci
rozpoznawania siebie w lustrze
liczenia zasług na odcinku renty

tracę wzrok
i ostrość widzenia
ale włosy mi jeszcze nie wypadają
nie wiem co to dializa chemioterapii
ale już powoli się uczę dzień święty święcić

BĄDŹ WOLA TWOJA JAKO W NIEBIE TAK I NA ZIEMI

cóż więcej mam powiedzieć
ta kobieta jest mi przypisana
zeszła już z nieba na ziemię
zrzuciła anielską powłokę

jej głos nie pasuje do chóru
każdej nocy leżymy obok siebie
zęby wyszczotkowane do granic pożądania
konkurują ze spadającymi meteorytami
schylone potajemnie cienie dzieci
powracając z nocnych lokali
zdmuchują nasze kolorowe sny

śródziemnomorskie ryby kuszą barwą
i lepią się do snu jak znaczki pocztowe

harpun chybia kolejny raz
w bezsenności brakuje już wolnego boku

od jakiegoś czasu nie kusi mnie niebo
zostaję na ziemi
z wiarą w grawitację
i przyciąganie charakterów
oraz ciała niebieskie
w marzeniach

CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO DAJ NAM DZISIAJ

już od dawna śmierdzą
ludzie jak komety omijają mnie coraz większą elipsą
nim zamarznie ziemia
walczę ze szczurami o penicyline białą
na chlebie którego u niektórych nadmiar
czasem podkradam go kurom u znajomego gospodarza
wtedy jest wilgotny i rozchodzi się między palcami
nie pęka jak opłatek
wojskowy suchar
czy zaznaczone osteoporozą moje kości

przypomina ciasto-zanete dla ryb
lub puste jak dzwon pierogi
już dawno przestał mi się kojarzyć
bochenek ze złotówką

I ODPUŚĆ NAM NASZE WINY

stoję w długiej kolejce po pieluchomajtki
mocz ścieka do mokasynów
które na ostatnią drogę
kupiła mi świętej pamięci żona
ona na szczęście nie doczekała
wezwań do prokuratury
i zajadłych pytań IPN-u

oczywiście że stosowałem metodę
odwróconego taboretu i jaskółkę

Boże
stoję już cztery godziny
i żadnej nadziei na powrót
do moich domowych zwierzątek
rybki pewnie głodne
kanarki spragnione

Panie
nie wyobrażasz sobie
jaki urok ma naga kobieta w pozycji jaskółki
nie musiałem nocami wyczekiwać pod jej oknami
wystarczyło że miała brata w AK

Dzisiaj czeka obok
siedzi na wózku inwalidzkim
z wyblakłym błękitem źrenic
w zasadzie to mi zawdzięcza wszelkie zniżki
jej twarz jest bez wyrazu
i bez bólu

JAKO I MY ODPUSZCZAMY NASZYM WINOWAJCOM

być może mnie bil
Wysoki Sądzie
ale jakie to ma dziś znaczenie
skóra powoli zlizwała blizny
a odciski od łopaty sprawiły
że te rany przestały się rymować
ze słowem ojczyzna
nie pamiętam
twarze mieli podobne jak i legitymacje
uderzenie polskiej kolby
bolało tak samo jak i niemieckiej
wilgoć murów ta sama
agresja szczurów też
nie wiem
kto wybił mi więcej zębów
większość z nich zjadłem
na niemodnym dziś słowie patriotyzm

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE

nie zazdrozczę sąsiadowi samochodu
w kolorze burgund metalic
drzewa w jego ogrodzie
nigdy nie kusiły mnie owocem
talerz satelity wielki jak Polska Jagiellonów
nie przysłonił mi rozumu
ani słońca w pogodny dzień

jednak wzywa mnie do broni
krotka koszulka jego żony
podnosząca się prowokacyjnie przy wieszaniu prania

jak o ścianę płaczu
uderzam głową w mur mojego domu
wbijam paznokcie w zasadzone drzewo
patrzę na syna
i powtarzam przysięgę sprzed lat

i nie opuszczę cię
aż do śmierci

Jerzy Fryckowski

ALE NAS ZBAW ODE ZŁEGO

Panie
pierwsze pytanie jakie sobie stawiam
to jakie miałyby oczy
czy byłoby podobne do mnie
czy do ojca
często stawałam profilem do lustra
wkładałam poduszkę pod sukienkę
i sprawdzałam ile dumy doda mi brzuch
okrągły jak świat
jednak w moje samotne rude noce
pokój z lustrem zamieniał się w beczkę śmiechu
i drwił z moich piersi
zwisających jak uszy myśliwskiego psa

garściami pełnymi tabletek
o ciężarze jednej ołowianej kuli
napychałam zapadłe policzki
i zapominałam numer pogotowia ratunkowego
rano znów robiłam kanapki
pakowałam tornister
worek z zamiennym obuwiem

syn czy córka
milczy lustro
bełkoce coś tarot
zaniemówiła pokątna znachorka
niebieskie i różowe wstążki
zaciskają moje gardło

Panie
jestem pusta jak tykwa
nigdy jeszcze
nie miałam mężczyzny

AMEN

Ten kamień jest zimny jak twarz dziecka na mrozie,
nie grzeje go płomień ni martwe liście dębu,
oczy już nie płaczą, serce twarde jak orzech,
choć północ nad krzyżem, żaden strach się nie lęgnie.

Pod bryłą kamienia jest odrobina domu,
zakłeta w matczyne, odarte z życia dłonie.
Bo nawet Ty Panie nie byłeś w stanie pomóc,
choć wbity na krzyż, ciągle stajesz w obronie.

Odplacam kwiatami i marnym ciepłem zniczy
za troskę o rany, za każdą kromkę chleba,
za nocne czuwania, których nikt nie policzył,
za wszystkie nadzieje, których piach nie pogrzebał.

Mirosław Odyniecki

Kaszubski świętek

wyciosany
nieprawą dłonią
wiejskiego artysty
z duszą sękatą
jak jego ręka
porzucony na rozstaju dróg
smakujesz samotność pól

wokół pachnie ciszą

w zarośniętych trawą koleinach
w gliniastych zakamarkach
wczorajszych kałuż
płyną obłoki
pierzaste anioły
ciemnieje niebo

otoczony złotym graniem bąków
szklany śpiew skowronka
rozkołysał lot motyli
obudził falowanie zbóż

poza tym cisza

nie znam cię
nie wiem kim jesteś
jednak klękam
zauroczony

śnie ciszę
jak ty

Ferdynand Globke powiesił się

siedem lat to kawał czasu
herr Globke
starczy by umarły spojrzenia ofiar
akurat tyle
byś odkrywając ostrzem łopaty
darń przeszłości
nie musiał spojrzeć w oczy trupom
one już ziarenkami piasku
przesypały niebyt
w klepsydrach wieczności

w roku czterdziestym szóstym
herr Globke
pod korzeniami jagód
nie było już źrenic
z echem ostatniej salwy
odeszły w czeluść nocy
trzepotem powiek
wpisały się w błękit nieba
nad wrzosowiskami Piaśnicy
nawet ptasim skrzydłom
przypisując wieczność ziemi

to byli kaszubszy chłopci
twoi sąsiedzi
herr Globke
jak ty wydzielali ziemi
tej ziemi
okruchy życia
ich pot skraplał się na waszej miedzy
być może na wiejskich dożynkach
piliście piwo z jednej beczki
w zakamarkach siana wydzielając sobie
gorące oddechy kaszubskich dziewczyn

Mirosław Odyniecki

a ty im za to
herr Globke
wśród piasnickenich sosen
wykopałeś posłanie głębokie
pagórki poduch i pierzyn
złociły się w październikowym słońcu
a wieczorem
oddając białce judaszowe marki
powtarzałeś „befehl ist befehl”
oczekując rozgrzeszenia w konfesjonale sumienia
do czasu
aż zwycięski „Drang nach Osten”
przybrał maskę klęski
potem już tylko strach pozostał
herr Globke
okrutny i zimny
a płacz odgrzebanych na nowy rozkaz kości
milczenie wiatru
ścielące drogę od grobów
do progu twego domu
skazały cię na samotność Judasza
więc jak on
zniewolony nieuchronnością czasu
oczekując mimo wszystko wybaczenia
wybrałeś nieuchronność sznura

pół wieku to kawał czasu
herr Globke
rozumiem twoją samotność
lecz czy potrafię
wybaczyć Judaszowi?...

Lesny

Latem cziej słuńce fest przëgrzeje dobrze je óprzëpólnié zdrzémnać sã chóc përnã. Chto tegó nie robi nen zycher nie wié co tracy. Tegó dnia chóc dopierze póczałk lëpińca bël, lëft na pólu jaż drëżôł ód góraczci.

Za to pód móją jablónką bëló fein chłódnó. Schówóny w trówie kléwer pôchnął i pszczolë brączalë tak słódkó, że úsnał jô sóm nie wiém cziedë. Óbúdył mie jaczis trzôsck na pódwórzim, to nasz Tusek szczekól jak óglëpiałi.

Przecarł jô përnã óczë ze spikù i slëchól co sã dalëj bãdze dzejało. Timczasã mëmka wësza na trapë i zaczã wólac -Tusek, Tusek bãdziesz tã cëchó. Na swójigó bãdziesz szczekól. Ale cziedë nôparti Tusek nie chcól slëchac, znerwówónô mëmka zawrzeszcza - úczarzenié z taczim scerzã - i toptuchem zamiérza sã na psa.

Dopirze tedë Tusek zgruždził ógón i mrëcząc schówól sã do búdë.

Chtos przëszedł i pitól mëmcki - je Paweł doma.

-Jo ón pewno je na ógrodze - ódpówiedza mëmka.

- A co ón tam robi -dopitowól sã chtos dalëj.

-Chrapié tak, że jaż gólczi spódaja z drzewa -rzekła niezadowólnionô mëmka. Ja wiedno mierzało, że jô leza óprzëpólnié i Panu Bógù dzén kradnã. Jô dëcht bël czekawi chto to przëszedł, ale wstac mie sã nie chcało. Dopirze cziej jô óbócził, że mój póbrat Józck jidze prosto do mie, tej jô so sód. - Cebie bë sã nie spózdól - przëwitól jem jegó. - Że téz ce sã chcało w taczim ceple jic.

-Bó tã leganie bë doch do mie przëszedł - przëgódól mie Józck i sód so kóle mie na trówie.

-Żebë tã dlô mie jakã brutka miól, tej jô bë ú ce kózdégó dnia bël - wëpólił jô prosto z móstu.

Józck przëzdrzól sã na mie úwóžno, jakbë mie pierwsi rôz widzól. Jegó starszi dzëwczã dopirze sã pierwszëch lëterów w zerówce úczalo i ani mû w głowie parobce bëlë. -Je ce lëchó - przëgódól mie -białka ce nie gnërzi, dzôtcki nie płaczą. Ale żelë mûszebno chcesz, tej ce ózenimë. Czemu mûsz miec lepi jak jiny. Kóle Paszków je spósobnô dzewùs, móże ma bë tam zaszła tak w niedzielã pópólniu.

-Spëtac czë óni mają jałowicã do przedaniô -pódkôrbiól jô Józka. - Nié, nié, mie tã rajëc nie bãdziesz. Czasë rôjców dówno minãlë.

-Jak chcesz - óbniechól swója niespósobną dba Józck. - Nicht ce mûszem do wóltórza prowadzył nie bãdze.

Kazimierz Formela

- Jo jô tak chcã - úpiarł jem sã przë swójim.

Jeden sztërk bëlë më cëchó, kózdi ze swójima mëslóma sã biôtkówól. Józki úrwól stëblo trówë i pógëldzył so pód nose. - A co të bãdziesz robił pópólni - spitól pó chwilë.

-Më chcelë pópólni wrëczy hakówac - rzekł jô prówda. - A czëmú pitòsz.

-Bó jô chcól jachac w las za knëplóma - pówiedzól Józki. -Jô ju gódól z Mieczim, wë trzech më bë doch fóra wnym wrzucelë. A kwatérka - dodól - zëbë nama w gardłach nie zaschló, jô ju móm kúpiony.

Hm -mëslól jô -pógóda je fëjn, w sóm rôz do hakowaniô wrëków i pópólnia szkóda. Ale z drëdzi stronë szkóda téz kwatérczi, jak jô z nima nie pójadã tej ny ódrapi wëzłãpiã ja sami. A Józki jesz na wiëkrz krewny je. Jak swójimú nie pómóc. Jô doch ód nie téz czasã co brëkùja. - Zgóda - pówiedzól jô pó dludzim namëszlóniu

- pójadã z wama, le nôprzód biej rzecze mëmce, zëbë óna mie pózni nie mrëcza cali tidzëń.

-Ó to sã nie jiscë jô z nią pógódóm -zagwëśnił mie Józki.

Jesz chwilã ma sedza i rozpówiôda. Do zniw le miesãc óstól, to sã chùtkó minie. Terô bë jesz jaczigó drzewa nazorgól, bó pózni to sã nie dô. Pó zniwach zarô trzeba w pólu robic , órac, sóc, búlwë wëbierac i tak dërch wkól. W kùncu Józki wstól - të so jesz póleze përzna - rzekł -a jô mûszã jic -i szedł pómału. Kóle wrotków só óbezdrzól i spitól -ó jaczi të przinãdziesz.

-Tak ó czwiôrti, co -rzekł jô zgniło.

- Jo -zgódzył sã Józki -jô téz prawie tak mëslól. Niech ta górac búten chóc përzna zelzi

- Bëło kãsk pó czwiôrti nizle dotrëkól jem sã na plac. Józki zarô, chóc treker stojł na pódwórzim, zaprzigł kónia. -Treker le blós niepótrzëbnégó trzòskù narobi w lese - rzekł.

Czedë zajachelë më w las, jô úlómól wietewka z młodi brzòszci i rzekł z głupia -jô mógå kónia ód gzyków óbganiac.

Józki przëzdrzól sã na mie krzëwó - dôle ta wietew Jankówi - nakòzól -ón bãdze kónia óbgónił, jô bãda úklódól, a wa z Mieczim bãdzeta pódówa.

Włózimë pół fóre tej wezniemë so pó jednim. -Szlóksu - dokùnczil Mieczki.

- Jô ce zary dóm pó szlóksu -zaczał szkalowac Józki -të za jednim przëložënim bës całã búdla sóm wëtrãbił. Ale jô nie jem taczi głupi, jô móm czëliszk wzãti mët.

-Chcemë le klasc - zaczął sã niecerplëwic Mieczki -bó jak sã ó nas mëdzi dowiedza, tej më bãdzemë biédny. Cali Mieczki, lëdze gódajã ze ón kãsk chlapłi je. Móże i je, chto gó tam wië, ale kùnda z niegó téz je dobri. Jô bë so rãkã úcac dól, ze gó jesz nizódna mëga nie kãsa, ón le sã tak do ne

óbiécónégó kórnusa póspiéwól. Dëcht na przëgrzechã Józk na kwatérka do lasa wzał. Ón nas nym sznapsa richtich zglëpiól. Żebë to człowiek wprzódk wiedzól co gó czekô, tej bë wszelejaczi nieszczesca i czãżczy robótë z dôleka ómijól. Bó czãżczy ne Józkówe knëple bëlë jak grzechë smiertelné. Mie zarô sã zdôwało, że më na fóra knap zaladëjemë. Z taczima grëbima twélóma i trzech chłopa miało bë robóta. Ale ód cze człowiek mô pómëslënk, nôprzód më wtricowelë na wóz jeden kúnc, a tej drëdzi. -Szëkã i dióbla tlëkã -gódól wiedno mój tatk niebószczëk. Szëkã i më na fóra włozimë, le pómału. Nie widzało to sã Józkówi, bó zaczął sã z nas pósmiewac - co wa jesta taczï slabi, czej jô bëł kawalérem tej jô mógl sóm pól festmétra na remiã wzac i jic z tim jaz dodóm. Jo z Józka bëł czedës chłop jak zwela, jednak dôwno to bëło. Dzys pó dzesac latach zeńbówégó rozwerkú wëzdrzil jak spica i chùtchi bë sã w pól zlómól nizlë sóm pól festmétra na remiã zadwignął.

Józków nôstarszi knôp Jank biegól z wietewką wkól kónia i nie dôwól bezpiekú gzykóma. Miele më ó nim czësto zabóczony, jaz jednim razã ón sóm przëpómnał ó se -tatkú, tatkú - zawólól. Ale

Józk nie dôł mü skúnczëc. - Bãdziesz të wszónie cëchó, nie ódzewô sã czedë starszi gódaja - zganił knôpa.

- Tatkú - nie dôł jednak pókú Jank -lesny jidze.

Przëzdrzelë më sã wszëtcë tam dze Jank pókazowól, lesny szedł póprôwdze. A matizer noga -wërwało mie sã. Mieczi téz sã wëstraszil, bó púszczil gałaz co ja prawie miól pódniosli -cëz terô - wëstãkól. Blós

Józk nie dôł pó se nick póznac-Le spókójno chłopi - rzekł - jô sóm bãdã z nim gódól.

Timeczã lesny bëł corôz blëzi i wrzeszczól - wa paruzlôcë, wa szargani, wa púrtcë przëgrzeszony, wa złodzéje. Jô -pódniosł swója krëczew do górë -na waji ju dlugó pilowól i kúreszce jô waji chwëcył na przesprawim.

- Ale lesny -rzekł spókójno Józk - cëz wë gódôce , jaczi tam z nas złodzéje, më doch blós sëchi knëple zbiérômë, pórzãdk w lese robimë.

-To maja bëc knëple - zarëczól lesny i krëkwia wskôzól nôgrëbszã klëftã na wózé. -Drogó bãdã waji kósztowalë te twóje pórzãdci w lese.

-Nas biédókwów chce lesny ùkôrac, to bë doch bëło búten szëkú. Më doch tu jesmë wszëtcë swóji, Kaszëbi z ójca praójca -kôrbił Józk do zgódë.

Lesnymú to łazënié pó lasach mûszało bëc mócno óbmierzlé, bó mrëknał zli jak dióblô starka - na słuźbie nié ma swójëch.

- Wierã nie lëchi wërwas më bãdzëmë z tim jimrochem mielë - przënëkało mie przez głowa - terô ón nama nie pópúscy.

Jiny dbë bëł Józk, ón ani mëslól póddac sã lesnymú. -Më doch nie jesmë

Kazimierz Formela

nizódnyma przesprówcóma - rzekł. - Nas blós biéda do lasa przégna. Doma białka i dziecë czekają, zócérczi na wiéczertzã nié ma na czim ùgótowac - gódôł jakbë z lesnym nié w lese, a na kóscelny drodze sã pótkôł.

-Të mie tuwó ó biédze nie wspomienô, niech sã kózdi ze swóją tudrëje i za dziecómã sã nie chówie, bó to ce nick nie pómóże -jamrowól nôparti jak scyrrz lesny.

- Cëz më sã tu bãdzemë wiele ó sëchëch pëskach sztridowelë -Józk zaczął pódchadac lesnygó z czësto jiny stronë. - Jô doch tuwó jesz cos móm za pazëchã.Wezniemë pó jednym, a tej bãdzemë dali gôdelë.

Józk nie czekôł co na to lesny pówié,le wëjął kwatérka, nalôł czeliszcz i pódôł gó lesnymù.Lesny chwilã sã namiszlôł, a tej wzał czeliszcz pómału we dwa palce jakbë nen parził.Jesz chwilã zdrzôł na niégó, pótemù drëgã rãkã przëtrzimôł czôpka, pódniósł czeliszcz do gãbë i chùtkó gó przewrócył. Wëpił tej wëpił, jô mù tam żalówól nie bãdã. Le zëbë ón czasã óchwatu nie dostôł. Jakbë dëcht dostôł, tej më bë so téz rada delë. Jô doch ju rôz prose-cu z trzeczygó rãba krew púscył. A że óno drëdzigó dnia i tak zdechło, tegó mù dëcht gódac nie brëkùje.

To jô so blós tak na óstrzega mëslôł. Lesny timczasã óddôł pústi czeliszcz, ócarł gãbã rãkã i rzekł - sznaps bëł dobri, ale sztrófa i tak bãdzeta músza zapłacëc. Na pócwierdzenié swójëch słów wëjął z antaszczci jacysz cedel i zaczął cos na nim szmagrotac.

Józkówi múnia kask ópadła. - A jenë jak jô z ny móji biédë sztrófa zaplacã-wëstãkôł.

-Nie zapłacysz tej kómórnik przindze i sóm weznie -mrëknął lesny.

Józk na ne słowa nie rzekł nic, le sygnął pó kwatérka i nalôł jesz jeden czeliszcz.

Dëcht na przëgrzechã nen púrtk sã tu przëtrekôł. Nié mógl nen nieprzëcël w ny górażczë lepi w chëczach sedzec. Ale co tam, nôwóznieszi, że za régã jô bëm miôł terô wëpic.Jednak nie zdãził jem rãczy pó czeliszcz wëcygnac, bó ùrëchlił mie Józk.Óbrócył sã znôù w strona lesnygó i rzekł do nie - a móże tak jesz jednégó na drëgã noga.Lesny múzôł bëc mócno wëpragli -a przëdało bë sã -zgódzył sã chãtno.Pó czëm wzał smialo czeliszcz i wëpił tim razã bez nizódnégó ócyganiô.

A zëbë gó gãs kópnã. Stóri pótrus pó co ón ne swóje rozeschli gnôtë pó lese wlecze. Jô bë dëcht nick nie gódôł, cziejbë ón dze pód brzóska sód i kapeluszem wëjôł.

Ale lesny nie czuł mójëch mëslów. ócarł gãbã tim raza w rãkôw i schówól cedel nazôt do taszë. - Në cziejbë dëcht tak nicht nie widzôł - sfolgówól niespódzajno. Bëlobë to móžno, że lesny tak letkó spaszowól. Józk zarôskù

jak tonący brzętwi ũchwęcył sã nowi szansë. - Nawetka żëlë nas chto óbôczy, tej nicht sã za nama nie bãdze czerowól. Më doch nié mômë na lësënach wëpisónë, że bez asygnatë fóra drzewa wiezemë - rzekł.

-Jo, jo, to le sã tak letkó gôdô -wzdichnął lesny. - Wa doch wiéta jak je. W kózdi wsë nalize sã niegôdzëjôsz, co zarô z óskargã do nadlesnégó pũdze. Wa w raże czegó nôwëzi sztrôfa zapłacyta, a jô robôtë móga bëc lóz.

-A wë zarôskũ ó nôgórszim -zgañił gó Józka. - Człowiek doch wiedno mûszi bëc dobri dbë. A jak człowieka ód bëne jaczi robôk toczy, tej mûszebno trzeba gó zalóc. Sznaps na wszelejaczi jiwřë nôlepszym je lékarztwem.

Jak óni dwaji sã fëjn rozmiełë, Józka jesz fũl czeliszka nié miól nalónë, a lesny ju rãkã trzimól wëcygnionã. W nim póprôwdze mûsza nielëchô hëc sã zólëc, bó wzał czeliszka ód Józka i chũtkó wlól gó w na swója chlaba. Mie wiedno sã zdôwało, że ódżin wóda sã gasy. Sznapssem mózna gó blós pósdkacëc. Ale nie mój jiwëř, mie w raże czegó to doch wãptiów nie wëpôli.

Mûszól nen szadi jôpsc zmëřkac co mësłã, bó zblëszczil sã i wëpôlił prosto w mója stronã - a wa dwaji co tak stojita. Rësztã sã wrzucymë fóřã rôz dwa i jedzta zëbë nicht tu waji nie widzól.

Ma dwaji z Mieczim przëdzřelë sã na se, a lesny nie czekajãc jaz sã rëszimë zdrzucył antaszka z remienia i sóm zaczął kłasc. Jô spódzëwól sã wszëtczëgó, ale tegó że sóm pón lesny pó móże nama kłasc nié. Wejle co sznaps móže.

Wë trzech jakós letkó to nama szło i wnetka miele më fóra wrzuconã. Czej më skũñczëlë lesny ócarł rãkôwem móklëznã, co swiëca sã na jegó lësënie i rzekł do Józka - wlëj mie jesz jednégó, a tej jak nôchũtci dziñta mie z lasa.

Józka nalól mũ póslësžno, lesny wëpił, pódniósł ze zemi antaszka, zarzucył ja na remiã i szedł dali w swója stronã.

Czej lesny sztëk ódeszedł, Józka nalól jesz jenégó, a bëł to ju óstatny czeliszka. Przëdzřól sã na mie, przëdzřól na Mieczigó, a tej ódemkł szerok na swója lapa i przewrócył gó sóm. Ma z Mieczim pólikła i bëło pó wszëtczim.

Bël ju wiëczór, czej jô szedł stëgnã bez póla dodóm. Wiöldzi pyzati miesãc wzeszedł nad Bũkôwinã. ópiarł sã letkó na nëch młodëch brzôzkach co na grëncë stojalë i zdrzól na ne strzëbnë plónë zëta, ówsa i jãczmieñia, chtërën prawie co bëł sã wëszosowól i nawetka ó smrokũ swiëcył jakbë miól swój wid. Tak piãkno gwës mûszi bëc w niebie - mësłól jô. Pó gorãcym dniu całi swiat óddichól fũl piersã. Całi swiat sã ceszył, le blós nasze wrëci stojalë jaczis markótnë, ale jô nie smiól spëtac czemũ.

Do druku przygotowała
MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w LĘBORKU

Rysunki
Kasia Barszcz

ISBN 83-918379-3-9

Wydano nakładem
Rady Miejskiej w Lęborku
Oddziału Wojewódzkiego
Katolickiego Stowarzyszenia Civitas Christiana w Gdańsku
Zarządu Głównego Zrzeszenia
Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku
Starostwa Powiatowego w Lęborku

*utwór w języku kaszubskim wydrukowano
zgodnie z tekstem nadesłanym przez autora*

Druk:

drukarnia s.c. Kamilla i Jacek Bednarkiewicz
Lębork, ul. Słupska 23A, tel. 0 501 40 20 44